W numerze: Droższe niż diamenty • Upadek szefa Sumary • Teatr na eksport • Najdłuższy tunel świata • Czy istnieje życie na „Czerwonej Planecie" • Jak pozbyć się żony? • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

Nr 32 (348)
15 VIII 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SOPOT 65

Człowiek o spłaszczonej, posiwiałej czaszce, meloman zagorzały, jazz-fanatyk z nosem w chmurach i harmonią pieniędzy w kieszeni — przedarł się jakoś przez kordony strażników, a już tam, pod wejściem, czekał na niego znajomy.

Powiedziała spłaszczona czaszka

— Idź przodem; będę cię obstawiał. — Zaś kiedy tamten się zawahał, czaszka dorzuciła przez zęby: — Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, więc chodź, nie ma się nad czym zastanawiać; bo żebyś potem nie miał żalu...

Wcisnął dyskretnie wejściowemu setkę i wchłonęła ich widownia. Pomyślałem wówczas, że piosenka rzeczywiście nie zna granic. Było to pierwszego dnia...

Ale jeszcze przedtem — widziałem takich jak on na tarasach kawiarni, deptaku i molo, w kolejkach sklepowych i po lody. Zawładnęli miastem. Na trzy miesiące sezonu. Za pomocą tzw. „wielkiej forsy", którą kłują w oczy przy byle okazji, żeby szary świat się dowiedział, żeby ich docenił...

Sopot — to naprawdę stolica. Albo inaczej: naprawdę Riwiera. Połowa pojazdów ma zagraniczną rejestrację i co trzeci napotkany człowiek mówi obcym językiem. Mówi skromnie, cicho i, choćby przyjechał Mercedesem, nie udaje wyniosłego miliardera. Wolność Tomku w swoim domku — więc udają niektórzy Polacy, pokrywając w ten sposób dojmujące poczucie własnej głupoty (jeśli są jej świadomi).

Kiedy jednego takiego (człowieka o

Dalszy ciąg na str. 3

CHCIAŁEM DOBRZE

JULIAN BRYSZ

W tej wiosce, będącej właściwie przedmieściem podłódzkiej osady fabrycznej, Rogowska jest całkowicie obca, nikt nie chce zapomnieć, że pochodzi „zza Buga". Męża, tutejszego krajana, poznała na robotach w Niemczech. Po powrocie dane im było tylko 4 lata wspólnego życia. Był sekretarzem partii w gminie Leśmierz. „Oni twierdzili, że się przestrzelił, ale kiedy wróciłam z milicją, mąż mój leżał w kałuży krwi i nikt mu nie udzielił pomocy. Mówili, że to komunista, dlatego nie wierzę, że on to zrobił sam" — pisała Rogowska w liście do KM partii.

Została z kilkumiesięczną Iwonką, we wrogim otoczeniu sąsiadów i rodziny męża. Stopniowo jakoś ułożyła sobie życie, zaczęła pracować w fabryce odzieżowej. Jest tam zresztą robotnicą do dzisiaj i cieszy się doskonałą opinią dyrekcji. Iwonka, choć niewiele było czasu na jej wychowanie, zdała do liceum z samymi piątkami. Nauczyciele lubili stawiać ją za wzór innym uczniom.

Lecz oto minionego roku, na Iwonkę skierował swoje zapały Romek, jedyny syn pana wicedyrektora szkoły. Tata lękał się niezmiernie, że amory przeszkodzą synowi w egzaminie maturalnym. Wybrał się więc na dalekie przedmieście do Rogowskiej, prosić o pomoc w ograniczeniu kontaktów dziewczyny i Romka. Rogowska była zaskoczona wizytą i całą sytuacją, ale przyrzekła, że zrobi wszystko, co w jej mocy.

Romek, choć z trudem, maturę jednak zdobył i dalej spotykał się z Iwonką. Ta wakacyjna sympatia, zadzierżgnięta celem wspólnych wycieczek nad rzekę i do kina, nie wywołałaby prawdopodobnie żadnych poważniejszych skutków, gdyby nie fakt, że Romkowi powinęła się noga przy egzaminie wstępnym na studia. Cóż dziwnego, nigdy nie był asem, a tu pięciu kandydatów na jedno miejsce. Tata i mama doszli jednak do wniosku, że zawiniła dziewczyna, która z pomocą swej matki dybie na ich jedynaka.

W pierwszych dniach nowego roku szkolnego dyrektor liceum wezwał Iwonkę do swego gabinetu i uroczyście, w obecności swego wice, zakazał jej wszelkich kontaktów „z byłym naszym uczniem, Romanem P.". W domu Romka tymczasem działo się coraz gorzej. Ojciec załatwił mu miejsce w studium nauczycielskim, ale nie mógł darować chłopcu, że zawiódł nadzieje rodziców, że wystawił ich jakoby na pośmiewisko miasta.

Po którejś z kolei scysji, Romek uciekł z domu. Dotarł tylko do Łodzi, gdzie próbował szukać pracy w Urzędzie Zatrudnienia, lecz już nad ranem następnego dnia wsiadł w tramwaj i wrócił do swojej mieściny. Idącego od przystanku zobaczyła go Rogowska, która akurat śpieszyła do fabryki. Wiedziała już od matki o ucieczce chłopca, poprosiła go więc, żeby po południu zajrzał do nich i natychmiast zatelefonowała do pani P., że Romek się znalazł i będzie „do odebrania" u niej. Mamusia przyszła, nastąpiła czuła scena pojednania z synkiem, pani P. podziękowała Rogowskim za pomoc. Nazajutrz zaś wkroczyła do szkoły, kazała sobie wezwać Iwonkę do gabinetu dyrektora i w jego obecności zezwala dziewczynę od ździr i ulicznic.

— Pan nie reagował? — pytamy dyrektora.

— Poprosiłem panią P., żeby się uspokoiła, ale wcale się jej nie dziwię, ta dziewczyna sprowokowała ją, bo się cynicznie uśmiechała.

Po tym zajściu Iwonce, jednej z najlepszych uczennic, obniżono stopień ze sprawowania do dostatecznego. Motyw: mimo zakazu dyrektora, dalej spotykała się z Romkiem.

W sprawozdaniu, którego na naszą prośbę Kuratorium zażądało od szkoły,

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Zapowiedziana lakoniczną informacją w prasie codziennej na dzień 8 września oficjalna wizyta premiera J. Cyrankiewicza w Paryżu, przypuszczalne rozmowy z prez. de Gaulle'em, prem. Pompidou i min. Couve de Murville'm — stały się przedmiotem komentarzy nie tylko w bezpośrednio zainteresowanych krajach, lecz i poza ich granicami. Nie próbowałem zliczyć, ale tak jest na pewno, że najwięcej miejsca poświęcono tej wizycie w prasie zachodnioniemieckiej).

Już bowiem sam fakt, że tematem rozmów w tym gronie może być, m. in. sprawa niemiecka działa na polityków bońskich denerwująco, a co dopiero, gdy rozmowy te odbędą się niemal w przededniu wyborów parlamentarnych w NRF. Ta zbieżność dat jest — w ich odczuciu — wręcz fatalna.

Nas jednak nie interesują „zmartwienia" polityków bońskich. Interesuje natomiast rozwój, również w drodze bezpośrednich kontaktów, współpracy między krajami i poszukiwanie pokojowych rozstrzygnięć trudnych problemów. I temu zasadniczemu celowi podporządkowana będzie wizyta prem. Cyrankiewicza we Francji.

Komentatorzy przypominają, że „tradycyjnie dobre stosunki między obu krajami" („La Croix") uzupełniane są niejako zbieżnością poglądów Polski i Francji na niektóre problemy obecnej sytuacji międzynarodowej. Wylicza się przy tym takie zagadnienia, jak: granica na Odrze i Nysie, zjednoczenie Niemiec, bezpieczeństwo państw europejskich, sprzeciw, wynikający ze zrozumienia następstw, wobec amerykańskiej koncepcji utworzenia wielostronnych sił nuklearnych, czy też pogłębienie polityki Stanów Zjednoczonych w Wietnamie.

Wagę spotkania podkreśla fakt, że będzie to pierwsza w całej powojennej historii wizyta wysokiego przedstawiciela PRL we Francji.

I jeszcze jedno: „Reuter" zwraca uwagę, że paryskie spotkanie następuje po parafowaniu nowego porozumienia handlowego między obu krajami, co może być dobrym prognostykiem rozwoju stosunków bilateralnych.

Do zapowiedzianej paryskiej wizyty nie raz jeszcze powrócimy, a tymczasem przenieśmy się na widownię grecką, gdzie rozgrywają się wcale interesujące wydarzenia. W skrócie można by je nazwać „królewskim zamachem stanu". Trwają one od trzech tygodni, ale w ostatnich dniach rozegrał się znamienny epizod.

Przypomnę w sposób telegraficzny rozwój wypadków.

Przed 17 miesiącami odbyły się w Grecji wybory parlamentarne, z których zwycięsko wyszła tzw. Unia Centrum, której przywódca — Papandreu utworzył rząd. Nowy gabinet przystąpił do pewnej liberalizacji życia, m. in. oczyszczając z elementów skrajnie prawicowych szeregi armii i policji. Pewnym etapem tego miało być zdymisjonowanie ministra obrony. Dekrety rządowe wymagają jednak w Grecji podpisu króla.

Zawsze była to raczej czcza formalność, tym razem jednak król Konstantyn, od 17 miesięcy z niepokojem obserwujący poczynania Papandreu, sprzeciwił się dymisji ministra, wzamian ... mianując nowego premiera — Nowasa. Tenże wywodzi się wprawdzie również z Unii Centrum, ale jej zdecydowanie prawicowego skrzydła.

Przeciwko takiej decyzji króla podniosła się w Grecji fala protestów. Wielotysięczne tłumy żądały powrotu Papandreu. Król i nowy premier byli jednak optymistami. Sądzili, że mimo wszystko znajdą poparcie parlamentu. Pierwsze posiedzenie izby zostało zbojkotowane (przybyło zaledwie 36 z 300 deputowanych). Kiedy wreszcie udało się zebrać parlament — Nowas otrzymał zaledwie 131 głosów prawicy. Teraz, po 21 dniach, choć wcześniej było to oczywiste, Nowas musiał uznać swoją przegraną. Rozpoczęła się nowa seria konsultacji, która w chwili gdy piszę, nie została jeszcze zakończona.

Czy znajdzie się wyjście, które uratowałoby prestiż króla, czy też będzie to początek końca monarchii w Grecji — trudno przewidzieć. Tu i tam podnoszą się głosy o utworzenie rządu jedności narodowej, powszechne natomiast jest domaganie się powrotu Papandreu i głoszonego przez niego programu pewnej demokratyzacji życia.

Rzadko już zdarza się, by dwór królewski ingerował bezpośrednio w życie polityczne. W Grecji, skąd wywodzi się przecież słowo: demokracja, miało to miejsce w 1965 r.

* * *

W ostatnich dniach upłynęło sześć tygodni od burzliwych wydarzeń algierskich: obalenia Ben Belli i utworzenia Rady Rewolucyjnej. Stało się to okazją do podsumowania obecnej sytuacji i określenia pozycji rządu Bumediena.

Bilans sześciu niedziel jest dla Bumediena pomyślniejszy, niż można było oczekiwać. Stan napięcia — wydaje się — minął. Dzięki swej zręczności politycznej obecny premier osiągnął postęp i w sytuacji wewnętrznej, i zewnętrznej. W pierwszym wypadku udało mu się zneutralizować nieprzychylne Radzie organizacje masowe, a nawet nawiązać z nimi dialog, w drugim — przerwać izolację, jaka bezpośrednio po wydarzeniach otaczała Algierię. Jest nawet bardzo prawdopodobne, że w nowym terminie — 5 listopada może dojść do skutku konferencja afro-azjatycka. Będzie to jednak wymagało dalszego odprężenia na linii: Algier-Kair, o co Bumedien będzie z pewnością zabiegał w najbliższym czasie.

W sumie — by powołać się na ocenę naszych korespondentów w Algierii — nowy rząd w ciągu minionych sześciu tygodni „nie tyle się ujawnił, co umocnił". Innymi słowy: znamy jego dzisiejszą pozycję, mniej natomiast wiemy o jego dalszych zamierzeniach.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA 1 SIERPNIA

● Premier japoński Sato oświadczył w Izbie Niższej Parlamentu, iż jest zatrwożony lotami stacjonowanych na Okinawie bombowców amerykańskich „B-52", atakujących Wietnam północny oraz przyrzekł przekazać Stanom Zjednoczonym „opinię narodu japońskiego w sprawie tych lotów".

● Jak ujawnił premier Indii Shastri problem Wietnamu figurował na jednym z czołowych miejsc porządku dziennego rozmów jugosłowiańsko - indyjskich. Oba kraje uważają, że należy wstrzymać bombardowanie Wietnamu północnego, gdyż tylko w ten sposób można spodziewać się uzyskania przychylnej odpowiedzi „od drugiej strony w sprawach politycznych i wojskowych".

● Minister spraw zagranicznych Kanady John Nicholson odbył dłuższą podróż po krajach Europy zachodniej, celem zbadania możliwości zwiększenia imigracji ludności z krajów europejskich do Kanady.

Ludzie, którzy obawiają się wszelkiego ryzyka narażają się na największe ryzyko.
GEORGE KENNAN

WTOREK 3 SIERPNIA

● Władze izraelskie studiują raport, według którego radca ambasady zachodnioniemieckiej, która ma być niebawem otworzona w Tel Avivie, jest prawdopodobnie związany z mordowaniem węgierskich Żydów.

● W dniach 5—25 sierpnia otwarta będzie w Pekinie rumuńska wystawa gospodarcza. Na powierzchni około 10 tys. m kwadratowych przedsiębiorstwa handlu zagranicznego Rumunii eksponują ponad 2 tys. wyrobów różnych dziedzin przemysłu.

● Rzecznik Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu południowego o decyzji prez. Johnsona w sprawie wysłania dodatkowo 50 tys. żołnierzy do Wietnamu południowego: „...skierowanie nowych posiłków w żadnym stopniu nie pomoże imperialistom USA wyjść z ciężkiego impasu strategicznego. Jest oczywiste, że „wojna specjalna" doznała porażki. Dalsze wysiłki na rzecz rozszerzenia wojny doprowadzą do jeszcze większych porażek i do jeszcze większych strat".

PONIEDZIAŁEK 2 SIERPNIA

● We francuskim piśmie „Nouvel Observateur" ukazał się artykuł, w którym się stwierdza, iż we Francji toczy się walka między wywiadem amerykańskim a kontrwywiadem francuskim. Francuski wywiad wie o działalności przeszło 60 agentów CIA. Niektóre przemysły francuskie, w tym przemysł elektroniczny, zostały uprzedzone, że niepowinny zatrudniać specjalistów amerykańskich.

● Zdaniem ministra spraw zagranicznych Indonezji dr Subandrio, im więcej krajów będzie w posiadaniu bomb atomowych, tym silniejsze będą gwarancje, że bronie te nie zostaną użyte. W zasadzie bowiem nie stanowią one zagrożenia dla krajów posiadających je, lecz dla krajów, które ich nie posiadają.

● W NRF pojawiły się pogłoski na temat przenoszenia niektórych jednostek żołnierzy amerykańskich z NRF do Wietnamu. „Frankfurter Rundschau" powołując się na rzecznika głównej kwatery wojsk amerykańskich w NRF pisze, że pogłoski te są prawdziwe.

„Gdyby Goldwater został prezydentem, mielibyśmy tu, w Wietnamie wojnę"... („Stockholms-Tidningen")

Każdy naród ma takich mężów stanu na jakich zasługuje, ale nie każdy mąż stanu ma taki naród na jaki zasługuje.
N. DUNCAN — HISTORYK

ŚRODA 4 SIERPNIA

● W Związku Radzieckim odbywają się zebrania sprawozdawczo - wyborcze organizacji partyjnych KPZR. Sprawozdawcy donoszą, że większość zebrań odbywa się w atmosferze dużej aktywności politycznej członków partii, co świadczy o pozytywnym wpływie uchwał październikowego i listopadowego (1964) plenum KPZR na wszystkie dziedziny życia partyjnego, na dalszy rozwój demokracji wewnątrzpartyjnej.

● Ambasador USA w Tokio oświadczył na przyjęciu w Bostonie, że stosunek Japończyków do USA pogorszył się w wyniku zwiększenia zaangażowania Ameryki w Wietnamie. „Nastroje te odczuwa się wśród wszystkich Japończyków, nie tylko lewicowych" — stwierdził ambasador.

● Do Genewy przybędzie wkrótce dwóch obserwatorów NRD na konferencję rozbrojeniową.

● Wynosząca zaledwie trzy głosy przewaga Labour Party w Izbie Gmin jest obecnie zagrożona, bowiem trzech posłów partii pracy grozi rezygnacją. Posłowie ci noszą się z zamiarem złożenia mandatów, uważając, że rząd Wilsona zrezygnował z realizacji niektórych obietnic przedwyborczych.

CZWARTEK 5 SIERPNIA

● Kanadyjska Rada Pszeniczna zakomunikowała, że Związek Radziecki zakupił kolejną partię pszenicy i mąki pszennej w Kanadzie, tym razem w ilości 27 milionów buszli.

● Przewodniczący Komisji Izby Reprezentantów do spraw działalności antyamerykańskiej oświadczył, że organizacja istniejąca pod nazwą „Studenci w obronie społeczeństwa demokratycznego" zamierza zorganizować masowe palenie kart powołania do wojska.

Niegdyś eksperymentowano ze sztuką: dziś już tylko eksperymenty są sztuką.
EVELYN WAUGH

PIĄTEK 6 SIERPNIA

● Zachodnioniemiecka agencja DPA podaje, iż dobrze poinformowane koła bońskie zapowiadają, że na jesieni zapaść mają w NRF decyzje na rzecz „liberalizacji handlu wschodniego". Bońskie ministerstwo gospodarki — pisze agencja — analizuje obecnie formy i sposoby realizacji ewentualnej nowej orientacji w dziedzinie polityki gospodarczej wobec krajów socjalistycznych.

● Władze egipskie wykryły tajne składy broni i amunicji oraz aresztowały około stu członków działającego nielegalnie Bractwa Muzułmańskiego. Wstępne śledztwo miało wykazać, że członkowie organizacji planowali zamach na prezydenta Nasera.

● Dziennik „L'Humanite" — organ Francuskiej Partii Komunistycznej opublikował tekst krążącej już w ubiegłym tygodniu w Algierii odezwy wydanej przez „Organizację Ludowego Ruchu Oporu". Odezwa podpisana jest przez byłego członka Biura Politycznego FWN. Wzywa ona ludność Algierii do akcji w obronie zdobyczy rewolucji i socjalizmu, przeciwko organizatorom zamachu z 19 czerwca.

Małżeństwo? Mężczyźni próbują ożenić się z młodymi dziewczętami które kochają, a młode dziewczęta próbują kochać mężczyzn za których wyszły za mąż.
JEAN MARSAC — ŚPIEWAK

SOBOTA 7 SIERPNIA

● W wywiadzie dla prasy ambasador USA Harriman, który bawił niedawno w ZSRR, na zapytanie czy zdaniem jego Związek Radziecki pragnie pokojowego rozwiązania w Wietnamie, odpowiedział: „Tak jest, tak mi się wydaje. Jestem o tym całkowicie przekonany".

● W myśl decyzji prezydenta Johnsona, w związku ze zwiększonym udziałem USA w konflikcie wietnamskim, powołanych zostanie we wrześniu 27.400 rekrutów, zamiast 17.000 w czasie normalnym.

POLONICA

TOMIK ŁÓDZKIEGO POETY PO ROSYJSKU

Nakładem „Głosu Rosyjskiego" w kolejnym tomiku poetyckiej serii tego miesięcznika ukazał się wybór poezji lirycznej Henryka Hartenberga. Wiersze, które weszły do zbiorku pt. „Słońce we krwi (tytuł rosyjski tomiku: „Solnce w krowi") tłumaczyło kilku poetów. Jednakże niewątpliwie najlepszymi i bardziej trafnie oddającymi atmosferę zamyślonej liryki Hartenberga są przekłady dokonane przez radzieckiego poetę Wasyla Kocznowa.

(R. G.)

O POEZJI POLSKIEJ

Tygodnik hamburski „Die Welt" (16. VII. 65) wydrukował recenzję, pióra Tadeusza Nowakowskiego, o antologii poezji polskiej („Polnische Poesie des 20. Jahrhunderts"), która ukazała się w Monachium w tłumaczeniu zasłużonego przekładowcy z języka polskiego, Karla Dedeciusa. Tadeusz Nowakowski zamyka swoją recenzję słowami: „Antologia Dedeciusa pośredniczy w zaznajomieniu czytelników z poezją, której jakość leży przede wszystkim w tym, że jej twórcy owo napięcie, w którym żyli i żyją, potrafią przemienić w energię poetycką". Artykuł Nowakowskiego ozdobiony jest reprodukcją okładki antologii oraz wkomponowaniem wiersza Różewicza „W pośpiechu" w tłumaczeniu, rzecz jasna, Karla Dedeciusa.

SZTUKA BRANDSTAETTERA NA FESTIWALU

Wiedeński Burgtheater wystawił sztukę Romana Brandstaettera „Dni gniewu" (Tage des Zorns), którą zaprezentował na Festiwalu w Bregencji. Korespondent austriacki „Die Welt", Erik G. Wickenburg, pisze w tym dzienniku (z 30. VII. br.), że na przedstawieniu sztuki obecny był prezydent Austrii, Franz Jonas, a publiczność przyjęła utwór polskiego dramaturga z dużym zainteresowaniem. Do sukcesu przedstawienia przyczyniła się znakomita obsada: w roli uciekiniera żydowskiego wystąpił Josef Meinrad, a w roli oficera SS — Heinz Moog. „Die Welt" zamieszcza również zdjęcie z kulminacyjnego momentu przedstawienia sztuki Romana Brandstaettera.

„POLENLIEDER"

Dwutygodnik „Die Welt der Literatur" (22. VII. 65) w stałym cyklu wspomnień o książkach zapomnianych, drukuje obszerny artykuł Petera Hartlinga pt. „Polenlieder". Otóż Hartling przypomina w swym artykule, że w r. 1914 ukazały się w Krakowie, nakładem księgarni W. Poturalskiego, dwa tomy „Polenlieder deutscher Dichter" (Pieśni polskie niemieckich poetów), zebrane przez St. Leonharda. Autor antologii zebrał w nich liczne wiersze i poematy poetów niemieckich, jakich wiele ukazało się w Niemczech w wieku dziewiętnastym, zwłaszcza w okresie powstania listopadowego. Owe utwory, będące wyrazem sympatii dla polskich powstańców, wyszły spod piór takich poetów jak Platen, Anastasius Grün, Zacharias Werner, Karl Holtei, Lenau, Chamisso, Grillparzer i wielu innych.

SOPOT 65

Dalszy ciąg ze str. 1

spłaszczonej czaszce, co przekupił sprytnie „wejściowego") wchłonęła widownia, a było to

pierwszego dnia Festiwalu

pomyślałem, że piosenka rzeczywiście nie zna granic. I nim jeszcze rozpoczął się koncert, doszedłem do wniosku, że jeśli nie lubię tego miasta (pięknego skądinąd i sławnego), to przez tę spłaszczoną czaszkę i jej podobnych, których setki... także na widowni.

Kręcą się, wrzeszczą, rozpychają. Natrętny szelest festiwalowych programów utrudnia odbiór muzyki, wymyślne okrycia cudacznie ufryzowanych głów — utrudniają widoczność. I jeszcze te popisy lingwistyczne.

— How do you do? — pozdrawia Polak Polaka. (Patsy Ann Noble właśnie kończy śpiewać).

— I'm fine.
— She is wonderf-ul.
— Yes, yes...

Jest w tym wszystkim — oprócz pozy i snobizmu — namiętne pragnienie, by zwrócić na siebie uwagę, by zamarkować zbliżenie do kół artystycznych i ukoić rozpłakane serca, że nie ich oklaskują tysiące, że nie ich oglądają na telewizyjnych ekranach miliony.

Ci, co patrzyli w telewizyjne ekrany, musieli zauważyć, że namiętnie, także, pragnęli zwrócić na siebie uwagę (jury) piosenkarze. Nie samym, bynajmniej, śpiewem, nie wyłącznie kreacją. Chodzi tu przecież o nagrody, a — co za tym idzie — o wspaniałe kontrakty, nagrania, wojaże. Zatem — wszystkie chwyty dozwolone, byle więcej razy wejść na scenę i zarobić więcej braw.

Skrzekliwa Węgierka, Kyri Ambrus — piosenkarka co najwyżej trzeciej klasy — mizdrzy się do publiczności i rozdaje całusy. Przyjęta — entuzjastycznie, więc niektóre, śpiewające po niej gwiazdy, aby wywołać podobny aplauz, chwytają widownię „na skromność" (wskazują ręką na orkiestrę i dyrygenta jako autorów sukcesu), na wzruszenie, na tremę i łzy. Są jednakże artystki, których bronią wyłącznie dobre warunki głosowe i niebanalna muzyka. Jean Turner — znakomita Amerykanka — nie spekulując na jurorach i publice, wychodzi na estradę cztery razy. Śpiewała kompozycję legendarnej Billie Holiday: „God bless the child" — i wydawać się mogło, że właśnie ta piosenka...

To co zrobiła występująca tuż po Amerykance Niki Komba — zakrawa niemal na cud; wywołano ją pięć razy?...

Występujący tuż po Niki — Algierczyk Bentir — spekulował z dużym tupetem skacząc jak szalony po estradzie, wymachując rękami, całując w uniesieniu dziewczynkę wręczającą mu kwiaty a następnie zaskoczonego Rachonia, któremu, w swej „absolutnej skromności" bukiet ten przekazał. Ale przegiął widocznie pałę — brawa były mizerne i wyszedł zaledwie dwa razy.

Nigdy niewiadomo, z której strony **PADNIE** szczęście; w ogłoszonych następnego ranka wynikach tryumfowała kanadyjska piosenka „Mon pays" — tak na ucho: nic nadzwyczajnego. „God bless child" była dopiero piąta. Wyprzedzał ją nawet szmonces szwedzki „Leva" (zmarła parę lat temu Bille Holiday musiała przewrócić się w grobie). — Przecież międzynarodowe, dwudziestoośmioosobowe jury nie oceniało interpretacji, a walory samej piosenki, jeśli więc nie trafiła jurorom do przekonania muzykalność Turner, jej poczucie frazy, harmonii, jej szokująca wibracja — winni przynajmniej dostrzec oryginalność melodyczną „God bless".

Pewien dziennikarz z Warszawy machnął na to wszystko ręką i powiedział, że jeśli chodzi o werdykty — był, jest i na zawsze zostanie sceptykiem, i że prowadzi oddzielną punktację, toteż zaraz kupi czerwonego goździka dla Jean, aby ją pocieszyć.

Ale tak po cichu — dziennikarz liczył na sukces Amerykanki.

Drugiego dnia Festiwalu

w którym — jak pisało w programach — zagraniczni piosenkarze mieli wykonać utwory polskich kompozytorów w różnych językach (nawet po arabsku) zaś jury przyrzekło ocenić tym razem nie melodie a interpretację.

„Piosenkarze, którzy w Dniu Międzynarodowym (pierwszym) nie osiągnęli sukcesu z powodu źle dobranego repertuaru (Oj Jean, Jean, popraw się na przyszłość i śpiewaj, zamiast jazzu, rewiowe bzdety) teraz mają możność zaprezentowania swych umiejętności" — głosił program. Wobec powyższego — Mulatka wykonała oryginalnie, w sposób daleki od słowiańskich pierwowzorów — „Deszczem, zawieją" Piętowskiego i Tulczyńskiego, za co komplet sędziowski nagrodził ją ponownie... piątym miejscem, I znowu tryumfowała, jako wykonawczyni „Powracającej melodyjki", Kanadyjka Monique Leyrac — piosenkarka obdarzona suchym głosem, kurczowo uczepiona frazy, śpiewająca po francusku, nie wróżę jej, osobiście, większych sukcesów w czasie przyszłym.

A w ogóle, to przez ten „francuski" wiało nudą z estrady w ciągu całego festiwalu, a więc także

trzeciego dnia Festiwalu

podczas koncertu laureatów. Oprócz całej plejady aktorów dysponujących pseudoparyskim wdziękiem i mimiką, wyświechtanymi gestami i łatwością w śmiesznym podrygiwaniu tułowiem — produkowały się w tym języku dwie najsłabsze piosenkarki konkursu: Ina Caronne z księstwa Lichtenstein, której co chwilę brakło tchu i którą — mimo dobrej aparatury — ledwo było słychać (Caronne śpiewała również po niemiecku, również źle...), oraz ckliwa Odile Ezdra z Monaco.

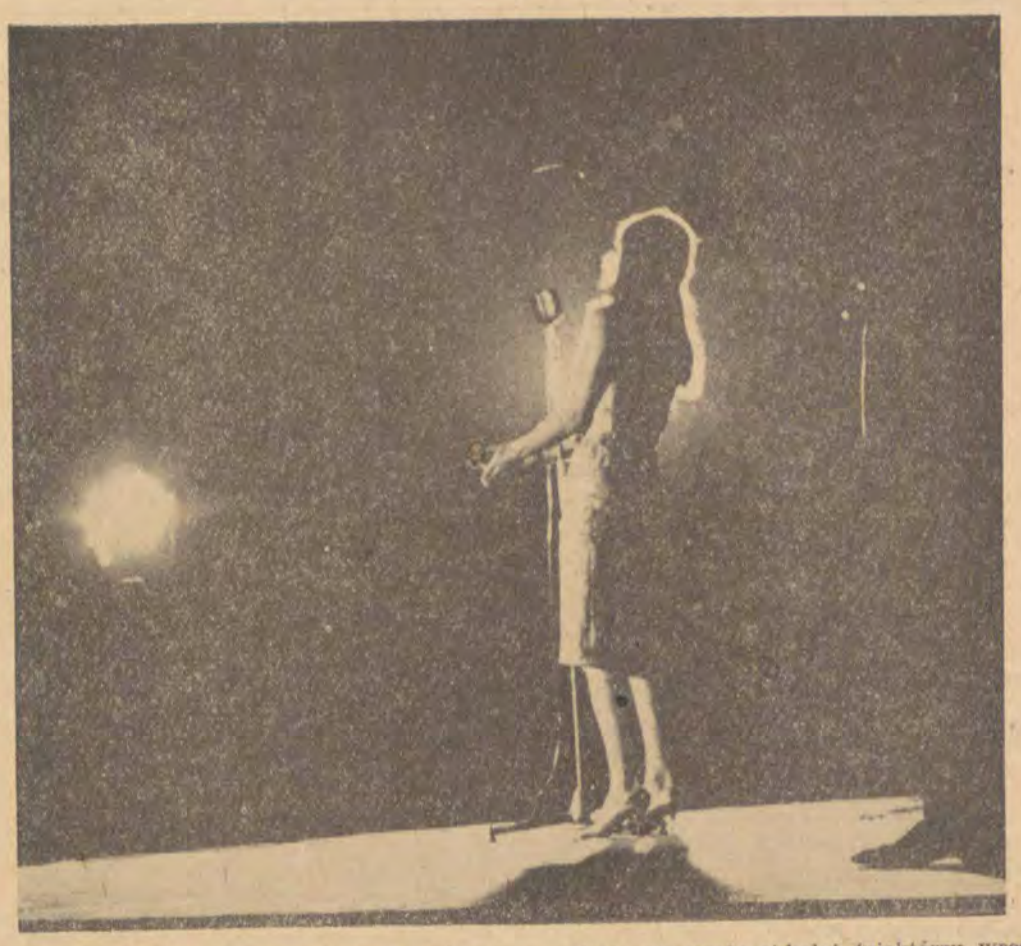

Od wielu lat francuska szkoła śpiewu lansuje piosenkę aktorską i literacką, w których — co podkreśla się przy każdej okazji — muzyka jest elementem drugoplanowym (w niekórych wypadkach nawet trzecioplanowym: wszak niektóre artystki wspierane są akompaniamentem zespołu ukrytego za kotarami, przeto niegodnego, w ich mniemaniu, oczu odbiorcy). Czy nie rozsądniej byłoby, w takim razie, zupełnie uwolnić piosenkę od akompaniamentu, a tekst odseparować od melodii? Co by po tym zabiegu zostało? Ano — aktorka recytująca poezję. Aktorka i poezja zmuszone bronić się same, bez pomocy alikwotów i harmonii. Krytycy mogliby wówczas ocenić, czy kunszt aktorski godny jest sceny, a poezja — upamiętnienia w historiach literatury.

Snobistyczna moda na tzw. ambitne teksty rozkrzewiła się obficie i w Polsce — efektem tego są dziesiątki banalnych, prymitywnych melodii, „wzmocnionych" pseudofilozoficzną albo pseudopublicystyczną treścią, w których załatwia się lub porusza jakieś bardzo ważne problemy (czy w obliczu ważnego problemu można mieć pretensję o jakąś tam płytką melodię, będącą, przecież, zaledwie pretekstem).

A teraz propozycja, którą proszę potraktować serio: zorganizujmy w ramach festiwalu sopockiego konkurs recytacji, gdzie ambitni aktorzy zaprezentują utwory ambitnych tekściarzy oraz przemianujmy festiwal piosenki na festiwal recytacji i piosenki. Zabieg ten uwolni poezję od grafomaństwa a muzykę od sztampy. Czas wreszcie zrozumieć, że poezja posiada swą integralną rytmikę, melodykę, podział i frazowanie, więc mariażu z muzyką wcale jej nie trzeba, z muzyką, która, z kolei, potrafi wzruszać bez pomocy słów.

Jak już pisałem — trzeciego dnia odbył się festiwal laureatów — zamykający w zasadzie oficjalną część festiwalu. Wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia zostały już rozdrapane: zapadły nieodwołalnie wszelkie możliwe werdykty i decyzje jury. Ma to ogromny wpływ na postawę produkujących się piosenkarzy. Stają się nagle chłodni (niektórzy wręcz oziębli), nonszalanccy i — jak niejeden z laureatów — wyniośli. Węgierka przestaje się mizdrzyć, Algierczyk rzucać kwiaty, Francuz ledwo się ukłonił (ale co za wdzięk), Greczynka przestała udawać wzruszenie (naiwna widownia tłumaczyła to zmęczeniem, ale wywołała Niki Kombę tylko jeden raz) i tak dalej i tak dalej, czyli la komedia finita.

Aby oddać sprawiedliwość: otóż byli i tacy, co do końca zachowali twarz. Skromni, serdeczni, podobnie wzruszeni jak pierwszego dnia imprezy. Byli tacy i żałować należy, że nie doceniła ich widownia, która tak łatwo daje się przekupić którą tak często złapać można na plewy i nieszczery gest.

Koncert się skończył. Piąty Międzynarodowy Festiwal Piosenki mamy za sobą. Ludzie ciągną do domów, restauracji, pod namioty. Jedni są zadumani, inni śpiewają, jeszcze inni rozpętują dyskusję.

Wśród dyskutujących potężną grupę stanowią spłaszczone czaszki („od razu wiedziałem, że Kanadyjka...", „A nie mówiłem, nie mówiłem kto zwycięży?!").

Słucha tego muzyk i się śmieje. I mówi do jednej ze spłaszczonych czaszek, że festiwal był nudny, że umiejętna reklama podniosła wielu amatorów do rangi gwiazd, że w przyszłości należałoby zaprosić paru bigbeatowców i jazzmanów, aby widownia nie ziewała z nudów, aby lansowane z maniackim uporem mdławo-łzawe pieśni sprzedać (jeśli już koniecznie trzeba) na mocy kontrastu.

Mówi, ale czaszka nie słucha. Dla czaszki muzyka jest pretekstem. Dla czaszki liczą się tylko słowa...

I gest.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Pozwolę sobie zwrócić uwagę Pana na artykuł p. Piotra Goszczyńskiego pt. Teatr o wadze 78 milionów kg, zamieszczony w „Głosie Robotniczym" z dnia 31 lipca — 1 sierpnia br.

Przyzna Pan, że sam tytuł zasługuje na szczególną refleksję ze względu na zastosowaną tutaj terminologię miernicza — jak dotąd bowiem wydawało się, że pojęcie miar odnosimy do nieco innych rzeczy. Trudno — skoro są takie obyczaje p. Piotra Goszczyńskiego... Jednakże nie zajmowałbym Pańskiego czasu cudzymi inklinacjami do precyzacji „wagowej", spotykanymi raczej wśród ludzi interesu, gdyby nie.. No właśnie. Gdyby nie połowa pierwszego zdania z rzeczonego artykułu, a zwłaszcza ów osobliwy zwrot familiarno-intymny: „Nim ze sceny Teatru Narodowego w Łodzi zabrzmi szekspirowskie „Być albo nie być", wypada stwierdzić, że za d z i a d z i e m Szekspirem"... (resztę można sobie, no, darować, ewentual nie doczytać). Abstrahując od tego, że z tejże sceny nie zabrzmi, niestety, ów słynny monolog (a może p. Piotr Goszczyński miał na myśli początek arii znanego kompozytora Szekspiriego?!) — muszę stwierdzić, iż z niemałym zdziwieniem dowiedziałem się o związkach pokrewieństwa, jakie łączą p. Piotra Goszczyńskiego z autorem „Hamleta". Aż dziw, że dotąd nikt nie przeprowadził wywiadu z wnuczkiem Szekspira. Może dowiedzielibyśmy się szeregu nieznanych dotąd faktów z jego życia, pomijając mniej istotne, takie np. jak: ileż to zarobił jako wspólnik (miał 1/8 wkładów) na „The Globe Theatre", ile ważyła jego najstarsza przyjaciółka, ileż to baryłek (ba, nie wiadomo jeszcze czego) wypijał, powiedzmy, na czczo? Itd. itp.

Od pewnego czasu sympatyczne panie i wytworni dżentelmeni powołują się raz po raz na bardzo bliskie znajomości ze słynnymi ludźmi. W takich uroczych enuncjacjach można np. przeczytać o zdolnym Adasiu (Mickiewiczu) albo o wrażliwym Julku (Słowackim). Nie wspomina się o poufałościach w rodzaju: ech, ten stary Józef Ignacy grafoman.

Niech mi Pan daruje, Redaktorze, że zatrudniam Pana takimi sprawami. I jeszcze proszę, skoro Pan ma zaszczyt sąsiadować w godzinach pracy z p. Piotrem Goszczyńskim, niech Pan zajdzie do wnuczka Szekspira i, błagam, niech Pan przeprowadzi wywiad, który z zapartym tchem na łamach „Odgłosów"

Stanisław Kaszyński

czytać będzie.

Łódź, dnia 31 lipca 1965 r.

* * *

Cieszmy się, Obywatelu Redaktorze — sztuka pisania rzeczowych, nacechowanych konkretnymi sprawami listów — jeszcze nie zginęła... Widomym tego przykładem był, jak na łódzkie warunki zbyt śmiały, a trafiający w sedno sprawy list satyryka Tadeusza Giegiera, drukowany w „Dzienniku Łódzkim" (20. VII.). List ten, tak sądzę — przyjęty był ze szczerym poparciem czytelników tego pisma, nie tylko mieszkańców głównej ulicy Łodzi (chodziło jak wiecie o te od kilku miesięcy niesamowite wrzaski, dozowane ludziom co kilka minut przez autobusy).

Odpowiedź dyrektora Duniaka, zwłaszcza jej końcowy fragment — przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Wspaniała to była odpowiedź — hej, łza się kręci, i taka demokratyczna!... Co prawda urzędnikom MPK ryczące autobusy na naszej Pietrynie nie przeszkadzają, bo Dyrekcja ma swe biura aż na Pradze (tak zwała się dzielnica, gdzie mieszczą się biura MPK). Inny byłby, nagły i radykalny stosunek do tego hałasu, gdyby przyszło im pracować lub mieszkać na Piotrkowskiej.

Potwierdza się znów fraszka krakowianina — Sztaudyngera ukuta na powojennych „Łódzermenschów"; — „Jest największą łodzian troską zmieścić wszystko na Piotrkowską!". Tak więc, kupione chyba bez kontroli technicznej (jak miauczące koty w worku?) autobusowe braki — puszczono na Piotrkowską... Przecież mieszkańcy tej ulicy to oddawna świetny materiał dla doświadczeń łódzkich speców od Wielkiej Komunikacji.

Sprawa nabiera rozgłosu, na list p. Duniaka, powołują się nawet kontrolerzy MPK, gdy ktoś z pasażerów weźmie na odwagę i zapyta: kiedy wreszcie ten hałas zniknie? Nawet „Telewizja Łódzka" nie jest tu bierna — dekonspirując bez komentarzy list p. Duniaka. Kto tu dobrowolnie przyzwyczaił się do tych wrzasków?

Gdybyśmy chcieli — robiąc słodką minę do kiepskiej gry — przyjąć nawet za słuszne oba głosy p. G. i p. D. — to w wypadku dalszych ryków na Piotrkowskiej trzeba by przenieść dyskusję nad tym problemem na sesję Rady Narodowej, czy urządzić plebiscyt społeczeństwa w prasie łódzkiej — kto jest za hałasem, a kto przeciw? Tu dopiero, poprzez ogólną dyskusję, doszlibyśmy do „istoty demokracji", którą tak chętnie, jak wielką armatą lubi się zasłaniać dyr. Duniak.

Swoją drogą, ciekaw jestem, czy ta plaga spadła też i na Warszawę lub Kraków, czy tylko w drodze praktyki wakacyjnej na naszą kochaną Łódź?

Pański, także Wielkołodzianin
ZDZISŁAW KONICKI

PS. Do wiadomości redaktorów „Odgłosów" podaję ostatnio zasłyszane na Pietrynie hasło tygodnia: „Kijem tego co tramwaje i autobusy jego"....

* * *

Na okładce 30/346 numeru „Odgłosów" widzimy dramatyczną twarz dziewczyny krzyczącej, a może płaczącej. Pod tym zdjęciem umieściła redakcja żartobliwy podpis. Bardzo chcielibyśmy wiedzieć kogo przedstawia ta fotografia? Czy to zdjęcie wojenne? Czy może z jakiejś katastrofy? Mamy wątpliwości czy takie zdjęcie — jeśli ma ono związek z jakimś ludzkim nieszczęściem — wypadało umieszczać nad kpiącym z niego niejako podpisem.

DWIE STAŁE CZYTELNICZKI

OD REDAKCJI

Zdjęcie z naszej okładki z z nr 30 nie jest zdjęciem wojennym. To możemy stwierdzić kategorycznie. Nie jesteśmy natomiast pewni, czy ma ono związek z ludzkim nieszczęściem lub katastrofą: przedstawia dziewczynę reagującą tak uczuciowo na — Yeh! Yeh! Yeh! — muzykę Beatlesów.

CHCIAŁEM DOBRZE

Dalszy ciąg ze str. 1

opis wspomnianej historii jest co najmniej dziwny: **„W pierwszych dniach września 1964 roku R. P. uciekł z domu i po kilku dniach poszukiwań przy pomocy organów MO odnaleziono uciekinierа w domu Rogowskiej“.** To prawda, milicja była zawiadomiona o ucieczce, ale żadnych kroków nie przedsiębrała, jak zwykle w takich sytuacjach, przed upływem 3 dni. Reszta jest żałosną próbą ominięcia prawdy. Poza tym w sprawozdaniu znalazły się epitety, na podstawie których Rogowscy mogliby wygrać z dyrekcją szkoły nie jedną, a co najmniej trzy sprawy o zniesławienie. Mówi się tam m. in. o uprawianiu nierządu w domu Rogowskich pod okiem matki, **„która w prymitywny, bezwzględny sposób dąży do zrealizowania swych osobistych planów kosztem opinii i przyszłości córki“.**

Ponadto dyrektor informuje mnie, że chłopiec nie tylko wciąż bywa w domu Rogowskich, ale nawet zostaje tam na noc. Dowody? Wysłano pod dom Rogowskich „czatę“ złożoną z trzech nauczycieli. Wybrano godzinę 20.30, dowiedziawszy się uprzednio, że kobieta pracuje na drugą zmianę. Kiedy czata była kilkadziesiąt metrów od domu, świeciło się w oknach, jednak gdy podeszła bliżej, światło zgasło! Pukali, świecili latarkami do wnętrza i nikt nie otworzył! Na powrót Rogowskiej z pracy nie poczekali, bo było zimno. Reszty dowodów — powiada dyrektor — dostarczy sam zainteresowany, mój zastępca.

— Proszę, oto dowody — powiada tatuś,. — Najpierw zdjęcie dziewczyny, które wyciągnęliśmy chłopcu z kieszeni. Niech pan spojrzy na podpis: „Kochanemu, najdroższemu Romkowi ktoś, kto bardzo kocha i czeka“. Teraz jej list. Owszem, również wyciągnięty synowi z kieszeni. Wczytuję się w ten „dowód koronny“, w skargę skrzywdzonego dziecka: **„Mama mi tyle nagadała, że sama nie wiem, jak komu wierzyć. Jestem po dobno wykolejona do ostateczności. Już mi się nie chce ani uczyć, ani żyć. Nie wiem, jeśli spełnią się przepowiednie mamy, to pozostanie mi tylko odebrać sobie życie, chociaż i tego nie potrafię“.**

Czy to już wszystko, proszę państwa? Nie, jeszcze sąsiedzi mogą poświadczyć, że on tam przychodzi. Żałosna historia — ciągną mnie od domu do domu. Pani P. nie daje nikomu dojść do słowa: „Prawda, że pani widziała mojego syna, jak wychodził o północy od Rogowskich, prawda?“ Ludzie wykręcają się, że kto by po nocy obserwował, że owszem, widywali, ale jeszcze jesienią„ Wreszcie jest jeden, co stwierdza stanowczo, że widział Romka, jak przekradał się polem od stacji w ubiegły wtorek i piątek. Ta precyzja dat i sytuacji rzuca cień wątpliwości na słowa świadka, od lat nb. skłóconego z Rogowskimi, ale nie zamierzam tego dochodzić. Wcale bym się zresztą nie dziwił chłopcu, gdyby potajemnie szukał schronienia u Rogowskich. Do domu, jak sam mi przyznał, wraca jak najpóźniej, tylko na noc, bo z rodzicami nie może już dojść do porozumienia. Dziewczyny nie widział — twierdzi — od dnia ucieczki. Napisał do niej list, bo matka zezwoliła mu na kontakt korespondencyjny, ale po tygodniu i tego zakazała.

W styczniu Romek oblał egzamin z fizyki w studium nauczycielskim, groziło mu usunięcie z uczelni. Ostatecznie wykaraskał się, ale za nim to nastąpiło, cne grono pedagogiczne w liceum Iwonki **większością głosów doszło znów do wniosku, że to wina dziewczyny. Uchwalono przenieść ją za karę do klasy równoległej.** Dyrektorowi, który oznajmił jej tę decyzję wobec wszystkich uczennic, Iwonka ośmieliła się powiedzieć:

— Ale panie dyrektorze, dlaczego?...

— Jak ci się nie podoba, to zabieraj książki i idź do domu!

Potem Rogowska przyszła do szkoły w towarzystwie swego drugiego męża, ale dyrektor nie chciał ich słuchać, więc podnieśli głos. Na to dyrektor wyszedł i zadzwonił po milicję, bo przecież nie będzie tolerował w swoim gabinecie awantur (oczywiście poza tymi, które urządza pani P.).

Sprawa oparła się o sekretarza Komitetu Miejskiego partii, który zdecydował się „przeciąć“ ją natychmiast. Nazajutrz już Iwonka została przeniesiona do szkoły w Łęczycy.

Ale ani matka, ani córka dalej nie mogły zaznać spokoju. W inspektoracie w Łęczycy przez blisko miesiąc nie załatwiano formalnego przeniesienia, dziewczyna była „wolnym słuchaczem“, nie figurowała na liście obecności, nikt jej nie pytał na lekcjach. W domu przeżyły z matką nowe najście pani P., która przyszła któregoś dnia późnym wieczorem w towarzystwie sołtysa i w asyście podekscytowanych sąsiadów, domagając się natychmiastowego wydania syna, a na zdecydowaną uwagę ojczyma Iwonki, żeby się co szybciej wyniosła, oświadczyła, że potrafi dosięgnąć dziewczynę i w Łęczycy.

Wreszcie pod koniec ubiegłego roku szkolnego Iwonka została uczennicą jednego z liceów w Łodzi. Do wielkiego miasta nie dociera już chyba moc pani wicedyrektorowej.

Chciałbym rozumieć tych ludzi. Nie są, nie mogą być przecież z gruntu źli,

Formy — Piotr Barącz

On, pan P., w rozmowie ze mną rzuca na szalę 23 lata nienagannej pracy pedagogicznej. Jestem przekonany, że był dobrym pedagogiem, dopóki nie stracił ojcowskiej kontroli nad własnym synem, co przyprawiło go o załamanie i rozpacz. A człowiek w rozpaczy, jak wiadomo, popełnia błąd za błędem, bije na oślep,. Jeśli ma przy tym władzę, choćby lada jaką, nie koniecznie aż nad 375 młodymi duszami, skutki jego postępowania mogą okazać się niebezpieczne. „Chodziło mi o dobro mojego syna i tej dziewczyny“ — powiada. Po niewczasie spostrzeże chyba, ile „dobrego“ zrobił.

O roli pedagoga w hodowaniu młodzieńczych uczuć swoich wychowanków napisano już tomy rozpraw naukowych, powieści, nakręcono sporo filmów, **Ale sprawa wciąż pozostaje aktualna.** Historia, opowiedziana przez nas, jest o tyle drastyczna i niecodzienna, że w grę wchodziło osobiste zaangażowanie pedagoga, podczas gdy najczęściej konflikty powstają na tle zwykłego niezrozumienia między dorastającą dziewczyną czy chłopcem, a wychowawcą czy rodzicami.

Nie jest to na pewno zdarzenie typowe, tak samo jak za nietypową dla krainy lśniących tysiąclatek należy uznać zaniedbaną i zarosłą brudem szkołę, w której rzecz się zdarzyła. Podobno już wkrótce ma nastąpić przeprowadzka do nowego gmachu. Oby stare metody zostały na starych śmieciach.

JULIAN BRYSZ

P. S. Nazwiska, imiona i inicjały występujących tu osób, zostały zmienione.

LECH UTRACKI

DROŻSZE NIŻ DIAMENTY

California Institute of Technology (Caltech) znajduje się w centrum Pasadena — niegdyś luksusowej miejscowości pod Los Angeles. Ten popularny, stojący na bardzo wysokim poziomie uniwersytet (klasyfikowany na drugim, trzecim miejscu w USA) zatrudnia dwu pracowników naukowych na trzech studentów a w skład personelu nauczającego wchodzi pięciu laureatów nagrody Nobla. Mimo to sądzę jednak, że bardziej popularną niż sam uniwersytet jest jego filia — Jet Propulsion Laboratory (JPL) czyli Laboratorium Napędu Odrzutowego.

Jestem przekonany, że większość czytelników tego artykułu, często nie zdając sobie z tego sprawy, zetknęła się w komunikatach prasowych czy radiowych z JPL. Niedawno z okazji dokonania zdjęć Księżyca przez Rangera 8 prasa donosiła o sukcesie „naukowców z ośrodka badań kosmicznych w Pasadena“ a kilka miesięcy wcześniej, iż „na rozkaz wydany z centrum obliczeniowego w Pasadena nastąpiła korekcja trajektorii statku kosmicznego Mariner mknącego ku Wenus“. Ów „ośrodek kosmicznych badań“ owo „centrum obliczeniowe“ to właśnie JPL.

Zawiązkiem JPL była nędzna szopa daleko za miastem w kanionie gór San Gabriel. Tu w Arroyo Seco w 1936 roku sześciu studentów Caltech pod kierunkiem profesora Teodora von Karmana wystrzeliło pierwszą amerykańską rakietę. Dzięki fanatycznemu entuzjamowi przez szereg „chudych lat“ prowadzili oni badania aż do wybuchu wojny. Wtedy Akademia Nauk USA ofiarowała się z pomocą 10.000 dol., żądając w zamian stworzenia solidnych ram organizacyjnych i zajęcia się poważną pracą. Tak powstało JPL. Pierwszy jego dyrektor prof. Karman dwa lata temu został przez prezydenta Kennedy'ego odznaczony pierwszym Narodowym Medalem Nauki.

Kiedy przed kilku laty jechałem do JPL nie bardzo zdawałem sobie sprawę co kryje się pod tym skrótem. Jako fizykochemika interesowały mnie prowadzone tam badania nad substancjami wielkocząsteczkowymi i poza laboratorium zajmującym się tymi zagadnieniami nie spodziewałem się zobaczyć nic bardziej atrakcyjnego.

Był uroczy, zadziwiająco czysty ranek. Szerokim freewayem jechałem przez niekończące się połacie Los Angeles, następnie dnem wijącego się kanionu o stromych, wysokich stokach pokrytych gajami eukaliptusów z pomiędzy których bielały małe domki, w stylu hiszpańskim. Rozwarcie kanionu i Pasadena w ciężkiej, gryzącej wacie smogu. Kilkanaście mil dalej asfaltowa wstęga doprowadziła mnie do wielkiego kompleksu budowli odgrodzonych siatką. Po obu stronach drogi parkingi. Mały żółty autobusik zabiera stąd przybyłych i zawozi do samych drzwi budynków, w których pracują, na rozległym terenie JPL. Jako gość nie korzystałem z tego udogodnienia i spacerkiem udałem się do gmachu straży.

— Moje nazwisko U-T-R-A-C-K-I — przeliterowałem urzędniczce — z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Jestem umówiony z dr Mocanin. Czy mogłaby mnie pani z nim skontaktować?

— Proszę chwilę zaczekać. Zaraz to załatwię.

Poczekalnia zastawiona była małymi, wygodnymi fotelikami, po części pozajmowanymi przez porozwalanych, tłustych mężczyzn z czarnymi teczkami. Wzdłuż ścian nieprzerwanym ciągiem biegła seria zdjęć: wystrzelenie rakiety, rakieta w locie, rakieta na stanowisku próbnym, satelity rozmaitych typów, zdjęcia z kosmosu...

— Dr Utracki! — rozległo się w głośniczku.

Podszedłem. Od urzędniczki otrzymałem znaczek do klapy marynarki zatytułowany „Visitor“ i z moim nazwiskiem. Otworzyły się drzwi. Wszedłem do JPL.

Przedstawiło mi się jak osiedle konstruktorów jakiejś wielkiej budowli, osiedle rozrzuconych na stoku góry baraków, szop i wielkich przyczep mieszkalnych — trayлerów — zamienionych na biura i laboratoria. Stały one wzdłuż asfaltowych ulic z chodnikami, obsadzonymi drzewami, otoczone strzyżonymi trawnikami; wydawało mi się, że najprymitywniejszymi obiektami były tu... budynki. Zaledwie kilka było murowanych.

Wszedłem do jednego z baraków. Klimatyzowane wnętrze objęło miłym chłodem. Dr Mocanina znałem od roku — był częstym gościem naukowych spotkań a poza tym obaj chodziliśmy na wykłady z procesów przenoszenia. Mocanin był średniego wzrostu, śniady o czarnej czuprynie zdradzającej jego południowe pochodzenie — przed trzydziestu laty urodził się w Jugosławii i czasem bawiliśmy się rozmową w serbsko-polskim żargonie.

Po kilku godzinach dyskusji naukowej, po obejrzeniu laboratoriów fizyki i chemii zaproponowano mi niespodzianie zwiedzenie innych działów JPL.

— U nas to jest tak, — odezwał się szef laboratorium — najpierw musisz miesiącami czekać na zezwolenie wejścia na teren, ale skoro je otrzymałeś możesz zobaczyć wszystko. No, może niezupełnie wszystko, ale więcej, niż przeciętny pracownik JPL.

JPL nominalnie związane z Caltech jest jedną z agend wielkiego przedsiębiorstwa do badania przestrzeni kosmicznej, operującego paru miliardami rocznego budżetu. Wbrew nazwie aktualnie nie prowadzi się tu badań nad napędami. Nie wydaje mi się słuszne ani potrzebne opisywanie wszystkich działów JPL oglądanych owego, gasnącego w zapomnieniu dnia. Chciałbym ograniczyć się do dwu.

Pierwszy mieścił się w hali u stóp zbocza. Długa na ok. 150 m i szeroka na 40 m znajdowała się ona za kolejną linią ogrodzeń i posterunków kontrolnych. Z daleka nie wróżyła nic ciekawego — ot zwykła hala montażowa, z wielkimi metalowymi wierzejami. Za małym holikiem wytapetowanym rysunkami i zdjęciami pojazdów kosmicznych rozpościerała się wielka przestrzeń. Z jednego końca połowę jej szerokości zajmował namiot polietylenowy. Potężnych rozmiarów kompresory tłoczyły doń absolutnie odpylone powietrze. Za przejrzystymi ścianami powoli, w ciszy poruszały się postacie w białych chałatach, białych czepkach, w gumowych lub jedwabnych białych rękawiczkach. Niby chirurdzy pochylali się nad niewielkimi, różnokształtnymi przedmiotami migocącymi pozłacanymi powierzchniami, połyskującymi szlifowaniem. Tu pod namiotem, w idealnie odpylonej, idealnie termostatowanej atmosferze odbywało się konstruowanie organów wewnętrznych sztucznych satelitów, pojazdów kosmicznych, owych maleństw, cacuszek, owych mikromóżdżków, owych niezwykle czułych przyrządów

NAJDŁUŻSZY TUNEL ŚWIATA

4810 m wysoko wbija się w niebo najwyższy masyw skalny Europy Mont Blanc. Dokoła pusty, lodowy pejzaż i cisza. Ale w podnóże olbrzyma wdarł się człowiek, a zwycięstwo jego wyznacza wąska linia tunelu.

Pomysł przebicia tunelu sięga 1767 roku. Wtedy to szwajcarski naukowiec i alpinista Horacy Benedykt de Saussure pisał: „Na pewno przyjdzie dzień, kiedy doliny Chamonix i Alba połączy droga pod tym najwyższym z alpejskich szczytów". Pierwszy projekt budowy tunelu opracowali w 1844 r. francuski lekarz Vagneur i inżynier Alba. Ale wiek XIX nie zrealizował ich zamierzeń. Arnold Monad przedstawił w 1907 r. nowy plan, realizację jego przekreśliła I wojna światowa. W 1930 r. Monad opracowuje nową propozycję i wnosi podanie o koncesję na rozpoczęcie prac. Stosunki francusko-włoskie są w tym czasie mocno napięte, pertraktacje trwają długo, przerywa je II wojna światowa.

Rok 1946! We Włoszech zostaje powołany komitet budowy tunelu, wg. projektu prof. politechniki turyńskiej Vittorio Zignali. W 1953 r. w Paryżu podpisano umowę między Francją i Włochami, i dwa przedsiębiorstwa — francuskie i włoskie rozpoczęły pracę. Ten najdłuższy na świecie tunel kosztuje ponad 40 miliardów lirów. W tej sumie zawarte są koszty głębienia przekopu, zakładanych instalacji wentylacyjnej, oświetleniowej, sygnalizacyjnej, budowa podziemnych central elektrycznych i wielu innych niezbędnych urządzeń. Trudności pokonania masywu górskiego są olbrzymie. Woda i opór skał, podziemne źródła utrudniają pracę. Trzeba opanować ogromne ilości wody. Starczyłoby jej na pewno, by zaopatrzyć w wodę 100 000—miasto. Roboty pochłonęły półtora miliona dni roboczych — inaczej mówiąc 6 lat pracy bez przerwy, pracy w dzień i w nocy 800 robotników, z których 15 straciło tu życie. 100 000 kwintali cementu, 5200 ton stali, 1.500 000 kg materiałów wybuchowych i 1.120 000 m³ wydobytej skały — to liczby dające pojęcie o ogromie przedsięwzięcia.

Tunel liczy 11.600 m długości i 8.60 m szerokości. Po obu stronach znajdują się 80 cm stopnie. Między nimi biegną dwie trasy przeznaczone dla pojazdów, 3.50 m szerokości każda. Wjazd do tunelu od strony włoskiej znajduje się nieco wyżej niż po stronie francuskiej. Zapewni to lepsza wentylację nawet wtedy, kiedy ruch na trasie osiągnie szczyt, to jest 450 wozów na godzinę. Koszty budowy zamortyzują się w ciągu 60 lat.

Wjeżdżających w tunel otacza świat jakby wyczarowany z baśni, który jest jednak najprawdziwszą rzeczywistością — cudem techniki II połowy XX wieku.

CZY ISTNIEJE ŻYCIE NA „CZERWONEJ PLANECIE"?

Mariner IV dokonał nieskończenie trudnego zadania przesyłając na Ziemię serię zdjęć i obserwacji z Marsa. Jest to jedno z najfantastyczniejszych osiągnięć techniki i przede wszystkim, tym razem nie tyle z dziedziny balistyki, co telekomunikacji. Mariner nie był osamotniony, był kierowany rozkazami z Ziemi. Jego urządzenia i mechanizmy zbudowano z 138.000 części, a wszystkie one funkcjonowały bezbłędnie przez długich siedem miesięcy.

Mariner IV rozpoczął swą podróż 28 listopada z prędkością 40 000 km/godz. Piątego grudnia tor jego lotu został skorygowany i na rozkaz wysłany z Ziemi jego dodatkowe motory zostały uruchomione dokładnie z taką prędkością, by w dwa miesiące później pojazd znalazł się w miejscu zaplanowanym w pobliżu tajemniczego Marsa i by zaczął krążyć po jego orbicie.

Mars, to najbliższa, po Wenus planeta naszego systemu słonecznego. Jego średnica wynosi 6700 km., a więc dwa razy mniej niż średnica Ziemi, co daje objętość siedmiokrotnie mniejszą i jeszcze mniejszy ciężar. Jego przyciąganie jest trzykrotnie słabsze od ziemskiego. Szybkość obrotu wokół własnej osi podobna jak na Ziemi, co w przybliżeniu daje dobę zbliżoną do naszej. Za to krążenie po orbicie znacznie wolniejsze: 686 dni trwa kompletne okrążenie wokół Słońca, tak więc rok i pory roku trwają prawie dwa razy dłużej niż na Ziemi. Bieguny pokrywa lśniąca biel (czy wieczne śniegi?) której powierzchnia maleje lub zwiększa się w zależności od pory roku. Na pozostałej powierzchni planety zaobserwowano zdumiewające zmiany barw. Każdej marsjańskiej wiosny duże przestrzenie czerwonej gleby pokrywają się nagle zielenią, szarością i błękitem, w miarę zbliżania się lata kolory ciemnieją, następnie przechodzą w brąz, by znowu w końcu zlać się z czerwoną barwą gleby. Temperatury kształtują się tam: około +29° w południe i —96° nocą. Klimat straszny, ale w pojęciach ziemskich. Dzięki badaniom spektralnym wiemy, że atmosfera marsjańska zawiera minimalną ilość tlenu, dużo azotu i gazy karboniczne, hipotezy te potwierdziły w pełni obserwacje Marinera.

I wreszcie sprawa wody. W r. 1947 astronom amerykański Gerard Kuiper dowodził, że sławne „kanały" marsjańskie pokryte są cienką warstwą lodu. Obecność lodu, zdawałoby się, jest równoznaczna z obecnością wody. A jednak tak nie jest. W r. 1963 stwierdzono, że istnieje wprawdzie na Marsie para wodna i z niej to sublimuje się lód na „kanałach", lecz ani śladu wody w stanie płynnym.

Już w końcu ubiegłego stulecia pasjonowało ludzi pytanie: czy istnieje życie na Marsie? Niestety odległość nie pozwala w tym względzie na ścisłe wnioski. W największym teleskopie świata Mars wygląda tak, jak Księżyc widziany gołym okiem. Jednak uczeni radzieccy i amerykańscy podjęli ciekawy eksperyment. W sztucznie stworzonej atmosferze, której skład i ciśnienie były niemal identyczne z atmosferą marsjańską zamknięto mikroorganizmy, bakterie, rośliny a nawet niektóre owady. Wszystkie one egzystowały w tym niezwykłym klimacie, a nawet drapieżny pająk tarantula przejawiał znacznie wzmożoną żywotność. Tak więc hipoteza życia na Marsie nabiera cech prawdopodobieństwa.

NIE MA JUŻ MARINY OSWALD

Marina Oswald, wdowa po domniemanym zabójcy Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, wyszła powtórnie za mąż. Od tragicznych dni w Dallas upłynęło dwa lata. Teraz nazywa się Mariną Porter. Jest żoną Kenneth Jess Portera, dwudziestosiedmioletniego technika, który rozwiódł się z żoną, aby poślubić Marinę. Na drzwiach domu, w którym mieszka Marina z dwojgiem swoich dzieci, wisi tabliczka z nazwiskiem Porter. Marina Oswald już nie istnieje!

Kobieta, która przez dwa lata nosiła znienawidzone przez całe społeczeństwo Stanów nazwisko Oswald miała tylko jedno pragnienie — być zapomnianą!

Żyła samotna, w całkowitym odosobnieniu, zajmując się jedynie wychowaniem dzieci. Przyjęła obywatelstwo amerykańskie i zapisała się na kursy języka angielskiego. Zamknięta w sobie unikała towarzystwa sąsiadów, żyła w ciągłym napięciu, drżąc na myśl, że usłyszy nazwisko swego męża Lee Oswalda. Dzieciom nie mówiła nigdy o ojcu. Naogół ludzie byli jej życzliwi, wielu miało dla niej litość. Ale każdy objaw litości Marina odrzucała.

Niebawem po wypadkach w Dallas zaczęły napływać dla Mariny ofiary pieniężne. Niektórzy obliczają je na sumę 40 milionów lirów, inni twierdzą, że liczba ta jest znacznie wyższa i sięga 100 milionów! To prawda, że Marina nigdy nie odrzuciła tych pieniędzy. Dzięki nim osiągnęła dobrobyt i niezależność. Nabyła mały trzypokojowy domek w jednej z eleganckich dzielnic Dallas. Są tacy, którzy jej to biorą za złe. Listy pełne obelg są równie liczne, jak te które proponują pomoc.

Chcąc uniknąć ciągłych odwiedzin dziennikarzy i fotografów, Marina szukała schronienia wśród swych przyjaciół.

W tym samym mieście, gdzie mieszka i gdzie znajduje się grób jej męża, żyje teściowa Mariny. Margaret Oswald jest chyba największym wrogiem Mariny, nie może jej darować złożonych przed Komisją zeznań. Jak wiadomo Marina jest głównym świadkiem oskarżenia Lee Harvey'a Oswalda. Zeznała, że mąż czynił aluzje na temat jakiegoś zamachu, który miano dokonać. Oświadczyła także, że widziała karabin Mannlicher-Carcano mod. 91/38, który dziś znajduje się w muzeum Kennedy'ego. Stara pani Oswald nazywa jej oświadczenie zdradą pamięci swego syna, i nie waha się mówić o wymuszeniu przez FBI zeznań, o zastraszeniu i wywarciu presji.

Rok temu Margaret Oswald napisała dla Esquire własną wersję dramatu w Dallas. Otrzymała za to 3000 dolarów. Kupiła sobie nowy model Buicka i mieszka teraz w ładnym domu w Fort Worth. W salonie, na widocznym miejscu, znajduje się tabliczka z brązu z napisem — „Lee Harvey Oswald, mój syn, dla St. Zjednoczonych zrobił więcej niż jakikolwiek inny Amerykanin".

Marina i Kenneth Porter, jej obecny mąż, poznali się przypadkowo w pewne niedzielne popołudnie. Dom pani Oswald znajduje się niedaleko lasu, dokąd odbywają przejażdżki konne mieszkańcy Dallas. Marina była z dziećmi w ogrodzie, kiedy Kenneth przejeżdżał obok ich domu. Córeczka zwróciła uwagę matki na pięknego konia. Kenneth zeskoczył z siodła, przyjął podaną mu niebawem kawę i obiecał małej, że nauczy ją jazdy konnej. Taki jest początek przyjaźni, która nagle przerodziła się w miłość.

nawigacji kosmicznej, aparatów pomiarowych. Na sąsiednich stołach leżały wielkie foliały schematów połączeń, nad którymi raz po raz pochylały się zafrasowane głowy młodych inżynierów.

Za namiotem konstruktorów, pod wielkim dźwigiem mostowym, stały rzędem w betonowym dole trzy, czterometrowe błyszczące pociski — głowice rakiet, w których przez atmosferę ziemską podróżować mają owe delikatne twory ludzkiego geniuszu.

Środek hali „zamieszkiwały" mruczące i terkoczące maszyny elektronowe przeznaczone do badania obwodów i rozwiązywania wyłaniających się problemów. Następną część przestrzeni zajmowały okrągłe, obrotowe stoły, na których wmontowywano poszczególne „organizmy" błyszczące lekko konstrukcje szkieletów. Tuż obok spoczywały znane ze zdjęć Explorery, Rangery, których duplikaty zostały wystrzelone w czeluść kosmosu.

— Tu „urodził się" pierwszy amerykański satelita Ziemi — Explorer I. Został zbudowany w rekordowym tempie dwu i pół miesiąca — mówił szef pokazując patykowaty pocisk długości około dwu metrów.

— Rozumiem ten pośpiech. To było w jakiś czas po Sputniku?

— Do czasów Sputnika JPL zajmowało się głównie zleceniami wojskowymi. Po nim, wyłącznie badaniami przestrzeni kosmicznej. Nie zajmujemy się ani satelitami komunikacyjnymi, ani meteorologicznymi, ani... innymi. Badania nasze są podzielone pomiędzy trzy zespoły: jedni zajmują się badaniami najbliższej strefy Ziemi, inni Księżycem wreszcie inni dalekimi połaciami kosmosu. Dziełem zespołu pierwszego jest wystrzelenie szeregu Explorerów, których celem było zbadanie promieniowania kosmicznego, rozkładu temperatury, natężeniem deszczu meteorytów, natężeniem pola magnetycznego Ziemi itd. To Explorery wykryły pasy wzmożonego promieniowania — tzw. pasy van Allena.

— To są tylko makiety? Czy tak? — zapytałem wskazując na serię rozmaitego kształtu konstrukcji.

— Ależ nie. To są autentyczne duplikaty. Każdy z nich mógłby zostać wystrzelony zamiast tego, który został wysłany naprawdę. Explorera I zrobiliśmy w 12 egzemplarzach, następnych nieco mniej. Taka technika umożliwiła nam, na przykład uratowanie programu Mariner — pokazał na błyszczącą konstrukcję z białego metalu, wypełnioną złotymi kulami i matowo-czarnymi prostopadłościanami, z rozwartymi purpurowymi płaszczyznami baterii słonecznych przymocowanymi u podstawy. — Jedynie co 16 miesięcy Wenus znajduje się w dogodnej pozycji. Rakieta wystrzelona w optymalnym okresie zboczyła z toru i została zniszczona na rozkaz z Ziemi. Zniszczeniu uległ i Mariner I. W ciągu miesiąca gdy rakieciarze byli gotowi, nowy Mariner poszybował w przestrzeń. Tym razem pełny sukces.

— Co teraz jest głównym problemem laboratorium?

— Program Ranger! Ma on na celu zbadanie powierzchni Księżyca i określenie miejsca i warunków lądowania astronautów. Ma to nastąpić jeszcze w tym dziesięcioleciu. Cały program wysłania na Księżyc pierwszych ludzi, czy pierwszego człowieka, ma kosztować podatników amerykańskich 20 miliardów dolarów! Program Ranger jest tylko fragmentem, lecz od niego zależy czy „Lunar Bug", który z ludźmi ma wylądować tam wysoko będzie dobrze skonstruowany. Tymczasem dwie pierwsze próby nie powiodły się ze względu na zły start rakiet, trzeci został wystrzelony tak energicznie, że na spotkanie z Księżycem przybył o wiele za wcześnie, czwarty i piąty zmarły w drodze i bez pożytku rozbiły się o Księżyc...

Podeszliśmy do stanowiska, na którym inżynierowie montowali następny pojazd. Na obrotowym stole wznosił się dwumetrowy stożek błyszczącej konstrukcji. Nie było jeszcze baterii słonecznych a uwagę przyciągała umieszczona w górnej części złota kula o średnicy około 40 cm.

— To następny Ranger. Niech pan zwróci uwagę na dwa szczegóły. Konstrukcja dysz korekcyjnych jest zupełnie nowa... — dopiero teraz zauważyłem maleńkie, umieszczone wzdłuż kształtek szkieletu konstrukcyjnego niby-rakietki, do których szczytu doprowadzony był milimetrowej średnicy przewód wiodący gdzieś do zbiorniczka z... wodą utlenioną. Nowe rakietki wydawały się jedynie bardziej wypieszczone, starannie dopasowane. Cóż jednak można sądzić o rozwiązaniu dyszy po wyglądzie zewnętrznym. — Te siniczki służą do korekcji położenia pojazdu w przestrzeni, lub do wykonania żądanego manewru w próżni kosmosu. Drugi szczegół, na który chciałem zwrócić pana uwagę to ta kula. Po dokonaniu zdjęć przez kamery umieszczone tu, w dolnej części pojazdu, po przekazaniu ich na Ziemię, na moment przed zderzeniem z powierzchnią Księżyca zostanie ona niejako wyłuskana z konstrukcji i spadnie oddzielnie. W pół godziny po upadku zacznie pracować wiertło mieszczące się w drugiej wewnętrznej kuli. Znajdująca się między nimi ciecz powoli wyparuje i wewnętrzna kula opadając zostanie zorientowana w przestrzeni. Teraz zaczną pracować znajdujące się we wnętrzu, sejsmograf i radiostacja...

— Skąd ty to wiesz? — przerwał mu Mocanin.

— Z biuletynu. Jestem chemikiem nie konstruktorem. Mam jednak wysoki stopień wtajemniczenia i otrzymuję tajny biuletyn JPL.

— Czy owa kula nie rozbije się przy upadku? — zapytałem sceptycznie.

— Całe to urządzenie przeszło wielokrotnie próby na wstrząsy, zmiany temperatury itd. Np. zrzucano ją z samolotu na pustynię Mojave. Działa idealnie. Oczywiście dopiero trzy takie kule pracujące równocześnie będą mogły jednoznacznie określić w przestrzeni źródło wstrząsów sejsmicznych.

— Jakie są koszty jednego pojazdu?

— Ogromne, ogromne! Program Ranger miał kosztować 90 milionów dolarów. Gdyby zamiast tych statków wyrzucać w przestrzeń kosmiczną diamenty i tak wyniosło by taniej. Tu oszczędzać nie można. Dzisiejsze cudowne konstrukcje, dzisiejsze cudowne stopy, kosztowniejsze niż szlachetne kamienie, jutro będą musiały być zastąpione jeszcze doskonalszymi.

Wyszliśmy z hali. Wysoko w czerwonawych promieniach zachodzącego słońca błyszczała kopuła „podręcznego" obserwatorium". Podręcznego, bo główne obserwatoria JPL służące do śledzenia lotów sztucznych planetek konstrukcji JPL znajdują się w Afryce, Australii i w Goldstone w Kalifornii. Wszystkie są połączone bezpośrednio z centrum obliczeniowym w Pasadena. Weszliśmy doń.

Murowany budynek zastawiony był szarymi szafami maszyn liczących. Między nimi uwijali się chłopcy w białych koszulach z podwiniętymi rękawami. Zaplątani w perforowane taśmy wyników czy programów, zaaferowani, obarczeni wielkimi rolkami taśm magnetofonowych nie zwracali uwagi na otoczenie. W centralnej części budynku znajdowało się coś w rodzaju małego audytorium z rzędami foteli ków. Za oszklonymi ścianami u wielkich pulpitów siedziało kilku mężczyzn. Nad nimi na ścianie wisiał „rozkład jazdy", na którym wypisane były nazwy poszczególnych pojazdów, współrzędne orbit, czas wystrzelenia. Na innej widniał program operacji kolejnego Rangera: data wystrzelenia, nazwa operacji (np. otwarcie baterii słonecznych) data, godziny. Na kilku stojących w audytorium telewizorach widać było przesuwający się tekst odszyfrowanych informacji z kosmosu. Z boku dobiegł mnie głos: „Po co wpuścili tu tego Comlie. Żeby nas podpatrywał!" Rozwalony opasły chłopak z bezczelną gębą przypatrywał się naszej grupce.

Z gorzkawym posmakiem opuszczałem JPL. Głupie zachowanie typa zepsuło mi szczere, serdeczne przyjęcie, jakiego się nie spodziewałem. Nie naprawiło go zapewnienie, że b:łem tu jednym z nielicznych o ile nie pierwszym obywatelem państwa bloku komunistycznego.

LECH UTRACKI

ZYGMUNT FIJAS

UPADEK SZEFA SUMARY

Przed wyjazdem na wczasy dobrze przeczytać tę pisaną na starą modłę gawędę pseudo-lekarską

Gdybyśmy prześwietlili jamę brzuszną naczelnikowi Sumarze i rzucili na ekran zarys jego wnętrzności, to nie musielibyśmy korzystać z pomocy rentgenologów, żeby wiedzieć, że wątroba naszego szefa jest powiększona do rozmiarów wątroby wołowej, zaś przewód żółciowy zatkany.

Albowiem odwiedzając różne przychodnie i przesiadując w poczekalniach, oglądając stosy własnych lub cudzych „OB", bawiąc w sanatoriach lub w szpitalach, gdzie znają nas jak zły szeląg i dziwią się, że do tej pory nie przenieśliśmy się do tych kombinatów zdrowia na stałe, do takiej wprawy doszliśmy w rozpoznawaniu cudzych chorób, że niemal tyle samo wiemy, co słudzy Eskulapa, jeśli nie więcej!

Już nie patrząc na twarz Sumary, wiedzielibyśmy, że jest ona niezdrowo zmieniona, oczodoły zbyt wyraźnie zaznaczone, białka jego oczu nie są zwyczajnymi błyszczącymi białkami, lecz... żółtkami, i to już mocno nieświeżego jajka.

Ale gnani ciekawością, gdybyśmy jedną rękę oparli na głowie szefa, żeby go tym prastarym chwytem lekarskim uspokoić, drugą szarpnęli za podbródek, żeby mu otworzyć usta, to ujrzelibyśmy język naszego sternika... szarożółty jak zamsz co jest objawem nie na miejscu: cechuje niedomogę żołądkową lub inne niedyspozycje gastryczne; mocno pogryziony, co jest oznaką niedawno przeżytych wstrząsów; na twardym podniebieniu oraz na łukach miękkiego podniebienia ujrzelibyśmy czerwone grudki, rozsianej jak proso i skomponowane w różne festony, girlandy i trapezy, co nie wskazuje na to, że szef jadł przed oględzinami lekarskimi zupę malinową z kaszą jaglaną przy pomocy szufladki w kształcie trapezu czy miotełką, lecz jest symptomem egzemy wewnętrznej pochodzenia nerwowego.

Odłożylibyśmy przeto zgłębnik do badania niższych kondygnacji krtani i przełyku, i z kolei, nie poprzestawszy na oglądaniu jamy ustnej, przystąpilibyśmy do obmacywania brzucha naszego pacjenta.

Już po kilku minutach wiedzielibyśmy, że śledziona szefa też nie jest w porządku; jego cienkie jelita drżą jak u konia wyścigowego, światło ich jest nieprawidłowo zwężane i rozszerzane, w żołądku coś burczy i przelewa się, serce zaś: ono to bije wolno jak dzwon żałobny, to znowu dryga jak sygnaturka czy zając.

Wszystkie te znamiona, cały jego, że się tak po lekarsku wyrazimy, „habitus", dowiodłyby nam, że Sumara musiał wiele cierpieć i nadal cierpi.

„Cierpiał, cierpi, ha, ha, panie dobrodzieju!... Powiedzieć, że ktoś cierpiał lub cierpi, to tyle samo, co oznajmić, że maszyna — stała lub stoi, panie tego, a nie przeanalizować przyczyn jej przestojów, nie podać dokładnej tej, jak to mówią etiologii cierpienia, jego źródeł, jakości i typu — nie wskazać środków do zwalczania zaburzeń.

Jeśli chodzi o nas, to ośmielamy się twierdzić, że Sumara zapadł na coś w rodzaju nerwicy ogólnej, czyli neurosis universalis, albo — jak to mówią potocznie — rozstrój nerwów.

Ale co było i jest przyczyną, że Sumara tak wyszedł ze stawideł?... Dlaczego on, porównywany na wszystkich zebraniach do pełnowartościowego makaronu czterojajecznego, teraz nie jest makaronem nawet jednojajecznym lub... zerojajecznym (tym fałszowanym przez niesumiennego producenta wyrobem mącznym, na powstanie którego wszystko może się nieraz złożyć: omieciny z piekarń, mąka ziemniaczana, „koński ząb" jadalne farby, mielone suche pieczywo — wszystko! jeno nie kurze pełnobiałkowe jajko).

Jakież ziarnko piasku zostało wrzucone do jego wewnętrznej maszyny, że ona chodzi, jak to powiadają w Polsce, „jak w mieście Łodzi"?... Jaka niewłaściwa substancja dostała się do jego cudnego wewnętrznego laboratorium elektrochemicznego, do tego superkombinatu organicznego, jakim jest każdy człowiek wraz z Sumarą, że to laboratorium podległo awariom?

Czyżby podwładni Sumary nie wykonywali należycie swych powinności? Strażnicy zakładowi rozpuścili się jak dziadowskie bicze?... Nauczyli się pić płyny rozgrzewające w czasie pracy, dopuścili do kradzieży lub, czego Boże broń, pożaru?... Wskutek tego wybuchł pożar remanentowy, cały magazyn spalił się wraz z księgami inwentarzowymi, główny księgowy jeno magazynier nie spalił się wraz ze swymi niestałymi w przyjaźniach przyjaciółkami?

A może inspektorzy wojewódzcy lub stołeczni wyniuchali na delegacjach biednie wpisane minuty i sekundy odjazdów i przyjazdów służbowych?

A może wykryto inne jakieś nieprawidłowości?

Wykryto je w biały dzień o godzinie dwunastej w południe, Sumarze grozi chryja; lada chwila mogą wpaść funkcjonariusze porządku publicznego, żeby go postawić przed pręgierzem opinii publicznej?

Nie posuwajmy się w swych pytaniach aż tak daleko!

W naszym zakładzie nigdy nie zdarzają się takie rzeczy. Jeśli nad biurkami i warsztatami wiszą tu i ówdzie napisy „Tu się pracuje", to nie znaczy to, że się leży — zgodnie z zasadą: „czy się stoi czy się leży, tysiąc złotych się należy", albo że się wykonuje fuchę.

No, to — może Sumara zakochał się?

Wynajął pokój w Karpaczu, w „Orlinku", zgodził jedną ze swych podwładnych na wczasy, żona zaś o wszystkim dowiedziała się i nakryła Sumarę?

Przed tym, panie dobrodzieju, Sumara przekonał żonę, że najlepiej będzie się czuła w innym wczasowisku: w odległej samotni na Mazurach, wśród wesołych zbieraczy grzybów i jeszcze weselszych amatorów-bartników i wędkarzy, ona na wszystko zgodziła się, ale nagle obudził się w niej Scherlock Holmes — i nagle pstryk! przyszedł krach z tą zdradą.

Jeśli nie to, no to może żona splatała Sumarze jakiegoś figla?

Pojechała na wczasy z kimś młodszym od siebie, przestała śnić o swym mężu — dobroczyńcy, co wyrobił jej posadę kucharki i gosposi u siebie, panie tego, potem bach: wystrychnęła męża na dudka, przypinając mu rogi!... No, i tak dalej, panie dobrodzieju: rozgrzawszy się na plaży uległa podszeptom nadmorskiego uwodziciela, postanowiła rzucić tę, jak mogłaby powiedzieć, „małżeńską katorgę" — teraz szaleje z uwodzicielem na wybrzeżu, przepuszcza on zaś jej męża oszczędności?

Ani to, ani śmo, ani owo!... Ani siowo, ani pstranto, ani owanto! Trzymają się was pomysły z tanich romansów gazetowych... Sądzicie, że o prawdziwą romantyczną miłość jest dzisiaj tak łatwo jak o byle pożar leśny! Że pięćdziesięcioletni sternik już nic innego nie ma do spełnienia, jak zmieniać miłoście jak rękawiczki, zaś każda żona na wakacjach o niczym innym nie myśli, jeno o psotach!

A kto będzie pilnował, żeby statek zakładowy szedł jak należy? Żeby nie zbaczał.

No to, jeżeli, panie dobrodzieju, ani to ani owo, ani siowo, to cóż pozwólcie, że nowocześnie zaklnę — cóż do stu tysięcy bomb — zaważyło na Sumarze, że pot leje się z niego jak z rynny, jelita mu nie wykonują pełnej normy, migdałki są zaczerwienione i nacieczone, oczami ruszają różne tiki, z jego gardła w czasie czkania wydobywają się dodatkowe kwakwania, gdakania, w oskrzelach coś piszczy i furczy; czasem zaś, gdy on się rozkaszle, to by kaszlał nawet i pół godziny, gdyby czegoś nie zażył. A zaraz po tym pojawiają się na jego twarzy fafle, po ciele zaś chodzą różne skuroze?

Dlaczego nasz szef tak zmarniał? tak skapcaniał? stał się „lichy"?... Dlaczego tak źle sypia?... Dlaczego, gdy zaśnie, to zaraz się budzi?... A gdy znowu obudzi się, to zaraz zasypia, żeby nie spać?

Może między Sumarami nie ma dość silnej różnicy miłosnych nabojów, że się iskrzy i ten niedosyt erotycznych jonów stał się przyczyną ogólnego rozprzężenia?

Uchylmy to pytanie. Sumarowie oparli swój związek na przyjaźni, trwalszej niż granit, życie zaś to przecież nie elektrownia; jego różnolitość to nie tylko sprawa zmienności nabojów.

Powiem wreszcie, co było i jest przyczyną cierpień Sumary.

Zaczęło się od tego, że Sumara rozwiązywał krzyżówkę, nie wiedział, co to jest „linia łącząca punkty o jednakowej wysokości bezwzględnej" na dziewięć liter, Jadzia zaś sekretarka wiedziała, że „poziomica". Sumara nie wiedział, co to jest konwekcja cieplna", Jadzia wiedziała. Sumara miał kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego wyrazu na oznaczenie cybernetyki, Jadzia ich nie miała.

A potem to już okazało się, że Jadzia chodzi na przedstawienia operowe, wysferza się czytając mnóstwo niepotrzebnych jej w pracy zawodowej książek, zapisała się z powrotem do liceum zaocznego... Sumara omal nie dostał palpitacji serca, gdy usiadłszy w ławce uniwersytetu na którym on — już od sześciu lat zaocznie trwał, ujrzał Jadzię, zaś obok niej swego woźnego Franciszka!!

Dostał tej palpitacji, gdy woźny i Jadzia umieli, on zaś nie. A potem to już nerwicy uniwersalnej poszło z Sumarą gładko. Uchwyciła ona ten moment, gdy Jadzia wymawiała swemu szefowi, że nie powinno się mówić „listonasz", lecz listonosz; nie... „biustonasz", lecz — biustonosz; lub w najgorszym wypadku „biusthalter". Wtedy to po raz pierwszy rozbolała go głowa, po niej wątroba; po wątrobie z śledzioną i trzustką zaczęło się dziać coś niewłaściwego — i Sumarze gorączka podskoczyła o piętnaście kresek.

Stan trwałby do samouleczenia, bo wielkie są siły we wnętrzu człowieka, jeśli ten człowiek kieruje się rozwagą i pobłażaniem, ale Sumarę pogięło na siedemdziesiąty siódmy paragraf, gdy Jadzia wraz z woźnym pokazali swemu szefowi z takim trudem i samozaparciem zdobyte dyplomy magistrów.

Już nawet przestał myśleć o własnym długoletnim stażu i doświadczeniu, które przecież stoją za najtęższe nawet dyplomy, ale obudziły się w nim: zwykła ordynarna zazdrość, uczucia wyobcowania i frustracji a po tym to już rozhulał się w nim huragan nerwic wszelkiego rodzaju. Doszło do tego, że Sumara chciał wysunąć przed siebie lewą nogę, to mu się wydawało, że wysuwa się noga prawa; pił zimną wodę to mu się wydawało, że pije gorącą... Wtedy to już na dobre wykoleił mu się żołądek, spuchła wątroba, zaś białka jego oczu upodobniły się do żółtek.

I po tym w domu, zamiast zrobić kilka przysiadów przy otwartym oknie i dobrze się natlenić, przeczytać jakąś błahą powiastkę rozrywkową nie nasuwającą żadnych przykrych myśli, zacząć chodzić na wesołe filmy i przedstawienia, kupić sobie telewizor i adapter z podkasanymi płytami albo też napić się ziółek, zaczął głośno pohukiwać zrazu na Sumarową, potem na psa, pomocnicę domową, samego siebie, już sam nawet przestał wiedzieć na kogo ma krzyczeć.

I wtedy to, jak nie trudno było przewidzieć, żołądek zaczął mu się trzepotać, serce drygać, przed oczami roztańczyły się różnokolorowe płatki, no, nie było w jego ciele organu, który by był posłuszny organowi centralnemu: rozsądkowi wewnętrznemu, utrzymującemu nasze ciało w równowadze.

Bo rozsądek, moi mili, pozwólcie, że „myślą" skończę tę letnią, pisaną w starym stylu gawędę; bo rozsądek każe nam poprzestawać na małym a zmysły ciągną nas do rzeczy wielkich; rozsądek prosi o tańszy but „a noga woła: „Nie! daj mnie bucik ciaśniejszy, ale bardziej elegancki". Rozsądek mówi: — Zdejm te spodnie, one nie pasują do ciebie, lecz do kogoś poważniejszego", kończyny dolne zaś mówią: „Nie słuchaj! Nam się podobają takie właśnie hajdawery"... Rozsądek mówi: „Nie zazdrość nikomu niczego. Z zazdrości tylko psuje się wątroba, uśmiech rzadko nawiedza z powodu zawiści twą twarz", nierozsądne zmysły krzyczą: „Nie bądź idiotą, nie poprzestawaj na małym, nie bądź jak to mówią, minimalistą. Życie jest dla każdego, nie tylko spryciarzy i szaławiłów! Pchaj się gdzie się tylko da na złamanie karku!"

Więc nic też dziwnego, że w starciu sprzecznych interesów wciąż sypią się różne niepożądane ziarenka do naszego nerwowego laboratorium i takie mamy marne prześwietlenia, nawet wczasy lecznicze nam nie smakują — i takie marne mamy „OB".

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

* * *

ANDRZEJOWI BISKUPSKIEMU

Jak ja sprzed wieków
będziesz szedł i szedł
będziesz powierzał się

nowej przestrzeni
dopóki braknie nóg
dopóki starczy ziemi

ODCHODZĄCA

Głos twój
po głosie już wspomnieniem
tylko
nad potopem hałasu
jakaś mętna piana
najpodlejszy rekwizyt
wspomina cię
kiedy jestem od ciebie
już dalej
niż z dala
tamta łąka podmokła
gdzie soczysta zieleń
po burzy
żółte kwiaty
poszyte nad rowem
już nawet prochu
nie przypomną u stopy
choć ja dni przeszłe
w pamięci
— wskrzesić mogę...
ty dla mnie
coraz dalej
spirali początek
dróg zawiłych i pilnych
w swym codziennym pocie
ty dla mnie
taka obcość
że na płocie każdym
źle przybity
i podle
mówi obcy język
bo dla mnie
drogi dalekie
rzucone w międzymorze
dla mnie żagle otwarte
horyzont niespodziany
i los daleki
odkrywamy co dzień
a na twej twarzy ślady
już powietrze starło
i wiatr powieki zdmuchnął
— zwiędłe
bo nie moje...

Z teki WACŁAWA KONDKA

Pajęczno

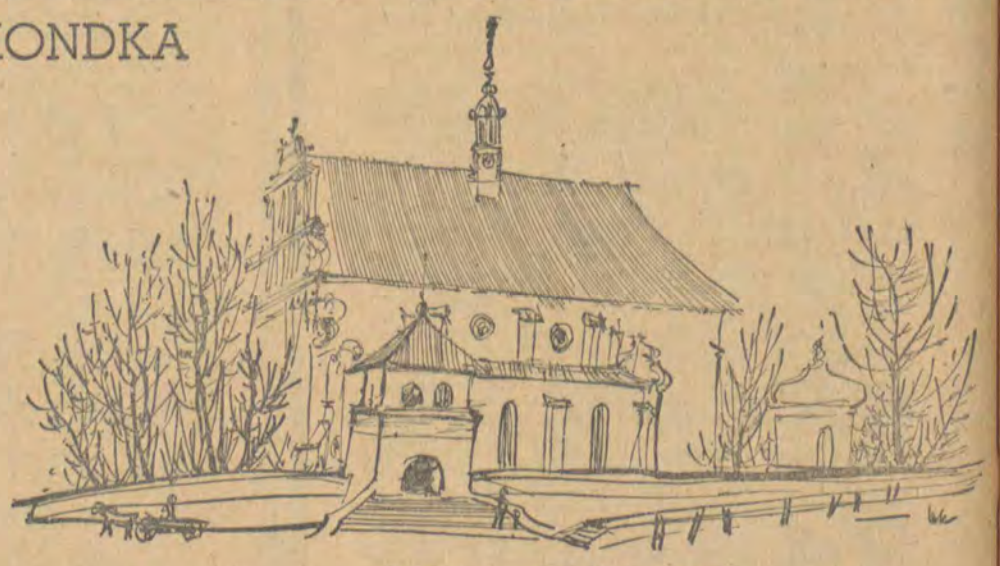

Poddębice — kościół barokowy

Chagall

POWRÓT DO STARYCH LEKTUR

Powtórne sięgnięcie po książki niegdyś czytane, których lektura wywołała w nas uczucia zachwytu — rzadko oznacza powrót do przygod dawno przeżytych. Najczęściej spotkania te przynoszą nam same rozczarowania. Dziwimy się nawet, jak mogła nam się podobać ta lub owa powieść, której przypisywaliśmy Bóg wie jakie znaczenie, skoro czytana obecnie ani nas ziębi, ani grzeje. Któż z nas w młodości nie zachwycał się „Martinem Edenem" Londona? Czytaliśmy tę książkę z wypiekami na twarzy, utożsamiając się z jej bohaterem i przejmując jego dążenia za własne ideały. Po dwudziestu i więcej latach „Martin Eden" stał się lekturą zwietrzałą, filozofia powieści wydaje nam się dość prymitywna, a i środki artystyczne nie zadowalają nas tak jak dawniej.

Albo „Dawid Copperfield" Dickensa. Książka niegdyś zachwycająca, odczytana na nowo raz nas swoim niepohamowanym gadulstwem. Trudno nie przyznać racji wyznaniom Papiniego: „Owych pięć lub sześć książek, które w moich młodych latach przysporzyły mi najwięcej radości, do tego stopnia, że szalałem z ich powodu — nigdym później nie czytał. Bałem się, by ich na zawsze nie utracić". Ale to nie książki się zmieniają, to my się zmieniamy i wraz z nami świat i jego wartości. Rozczarowania powtórną lekturą stają się niekiedy nowym tematem literackim. Peter Gan, poeta mało znany, choć znakomity, jest autorem wiersza pt. „Lektura po latach", który pozwolę sobie przytoczyć we własnym tłumaczeniu:

Ta książka jakby całkiem obca,
dziwne są książek dzieje.
Brała ją niegdyś drżąca ręka chłopca,
dziś — dla mnie nie istnieje.
Przewracam oto obce kartki:
bolą mnie one, ranią.
Gdzież się zapodział ten bieg czasu wartki,
szerokie skrzydła u ramion?

Stałem się dzisiaj innym człowiekiem,
czas zakpił z mego mozołu.
Co było bliskie, jest teraz dalekie:
mały kłopocik, szczęście kalekie,
została garść popiołu.

Ale gdyby powtórne lektury przynosiły jedynie same rozczarowania, kto wie, czy warto byłoby się problemem tym zajmować. Rzecz w tym, że bywa również na odwrót: książki, które niegdyś nie wdrożyły się w naszą pamięć albo wydały nam się wręcz nieciekawe, odzyskują po latach swój blask, stają się dla nas odkryciem, niekiedy — prawdziwą rewelacją. Dawniej nie zauważone lub zle ceważone, dziś stanowią źródło nieustających podniet intelektualnych, ba! uznajemy je za niezbędne w naszym księgozbiorze, trzymamy wciąż pod ręką, by w każdej chwili móc sięgnąć po nie i czytać je za porządkiem lub na wyrywki.

Nie powiem, żeby „Charaktery La Bruyere'a przeszły wśród moich dawniejszych lektur niezauważone. Do dziś pamiętam ich wydanie w lwowskiej bibliotece „Sympozjonu" pod redakcją Leopolda Staffa. „Charaktery", podobnie jak wszystkie pozycje tego cyklu, wydano w granatowej okładce z białym kółkiem po środku, na którym widniały nazwisko autora, tytuł tomu i nazwisko tłumacza, którym był znany krytyk i historyk literatury, Antoni Potocki. Książka ta przepadła wraz z innymi w czasie wojny, któż bowiem, ratując swoje życie, był w stanie ratować jeszcze książki? Po wojnie można było natrafić na nią w antykwariacie, ale ja nie miałem jakość szczęścia. Z tego starego lwowskiego wydania zostały mi w pamięci strzępy wrażeń i kilka zdań, zanotowanych w ocalałym cudem brulionie. Minno, iż nie uszła mojej uwagi mądrość spostrzeżeń La Bruyere'a, byłem za młody, aby ocenić w pełni walory tej książki. Są utwory, które będąc wynikiem całożyciowego doświadczenia ich autora, wymagają dojrzałości i doświadczenia również od czytelnika. „Charaktery" La Bruyere'a są takim właśnie utworem. I chociaż we Francji uczniowie liceów piszą o nim wypracowania, nie jest to pisarz, którego pisma uczeń jest w stanie zrozumieć i rozkoszować się bogactwem ich stylu i obserwacji. Nie tylko prace literackie powstają w miarę życia i na miarę życia ich twórców. Także czytelnicy dorastają stopniowo do utworów literatury poprzez lata swoich doświadczeń i przeżyć.

„Charaktery" La Bruyere'a ukazały się obecnie w nowym tłumaczeniu Anny Tatarkiewicz, poprzedzone dwoma szkicami o nim, pióra krytyków francuskich. Piękna szata graficzna czyni z tego wydania prawdziwy rarytas. Sainte-Beuve, autor jednego z zamieszczonych szkiców, napisał był już dawno, że „książka La Bruyere'a należy do tych niewielu dzieł, które nigdy nie przestaną być aktualne". Pomyśleć: tyle książek ginie i przepada, w niewiele lat po ukazaniu się idą w niepamięć i nigdy się już do nich nie wraca, a oto jest dzieło, które po blisko trzech stuleciach nie tylko nie utraciło nic ze swego blasku, lecz czas przydał mu jeszcze urody i powabu. Nie wierzycie? Otwórzcie ten mądry brewiarz na którejkolwiek stronie, a przekonacie się sami, ile La Bruyere miał do powiedzenia (i powiedział) o kobietach, o twórczości, o możnych tego świata, o panującym albo o rządzeniu państwem, o miłości. Zacytujmy jedno ze spostrzeżeń La Bruyere'a: „Gdy przyznam, że w porywie wielkiej miłości można kochać kogoś bardziej, niż siebie samego, komu uczynię większą przyjemność tym stwierdzeniem: tym który kochają, czy tym, którzy są kochani?" Oto jest pytanie.

Jan Koprowski

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

POPRZEZ PIĘĆ STULECI

Tym, którzy pragnęliby się zapoznać z historią Łodzi, a przede wszystkim mieszkańcom naszego miasta, gorąco polecam publikowaną niedawno przez „Wydawnictwo Łódzkie" pracę Henryka Stanisława Diñtera — „Dzieje wielkiej kariery. Łódz 1332—1860".

Co oznaczają — wyjaśnić trzeba przede wszystkim dwie daty, stanowiące chronologiczne ramy tej ciekawej i pożytecznej książki. Rok 1332 — to data pierwszej wzmianki o wsi Łodzi w dokumencie historycznym, dotyczącym tzw. imunitetu czyli wyłączenia tej wioszczyzny spod władzy księcia łęczyckiego, Władysława i oddania jej pod zarząd i jurysdykcje biskupa kujawskiego z siedzibą we Włocławku. A rok 1860 jest progiem tej epoki, gdy w warunkach ustroju kapitalistycznego, na gruncie nowego układu stosunków, Łódź w niezmiernie szybkim tempie przeobrażała się z małej mieściny w potężny ośrodek przemysłu włókienniczego, stając się w ten sposób jednym z najważniejszych gospodarczych miast na ziemiach polskich.

Autor „Dziejów wielkiej kariery", opisując zmienione losy położonego na skraju puszczy miasteczka Łodzi — oraz życie jej nielicznych — przez całe stulecie — mieszkańców, podaje nieprzebrane mnóstwo szczegółów informacyjnych, mało a może i wcale nieznanych współczesnym łodzianom. Któż wie na przykład, w którym miejscu wedle dzisiejszego planu Łodzi — budowali swoje kuźnie (tak) domostwa owi pra-łodzianie z XIV w? Kto słyszał o tym, że w 1652 r. odbył się w Łodzi — na szczęście jedyny — proces o „czary", zakończony śmiercią torturowanej „czarownicy"? Kto mógłby powiedzieć, jak się nazywał pierwszy literat oświaty w Łodzi w połowie ubiegłego wieku (zresztą na lat kilka zaledwie gdyż i jego już wtedy urzekła i wchłonęła stolica?) Kto wie do jakiej liczby wzrosło w 1860 r. zaludnienie Łodzi wynoszące w 1820 r. tylko 767 osób? Jak np. wyobrażamy sobie oświetlenie ulic i mieszkań łódzkich sprzed lat stu? Na te i na bardzo wiele różnych pytań udziela odpowiedzi praca Dintera, bowiem jednym z jej głównych walorów jest wielostronność treści.

Ale nie tylko to jest istotne w powieści o dziejach dawnej Łodzi, w których okresy jej względnego na ówczesną miarę—rozwoju przeplatały się z okresami stagnacji i upadku. Ważne jest i to, że wiadomości zawarte w księdze Dintera z różnych źródeł czerpane — są zawsze należycie i w sposób wiarygodny udokumentowane. Nie ma tu miejsca na dowolność i fantazjowanie, widoczna jest natomiast ostrożność i postawa, krytyczna w relacjonowaniu faktów, wydarzeń i związków przyczynowych. Jako jeden z przykładów tej chwalebnej ostrożności, wskaże stosunek autora do kwestii pochodzenia nazwy Łodzi. Przytaczając różne istniejące w tej materii hipotezy i odrzucając je kolejno jako nie dość uzasadnione, Dinter pozostawia sprawę nierozstrzygniętą, bowiem nauka historyczna nie wyrzekła jeszcze na ten temat decydującego słowa.

I jeszcze jedno. Dinter słusznie i skutecznie obala mit, szerzony przez szowinistycznych historyków niemieckich, jakoby rozwój przemysłowej Łodzi był dziełem „niemieckiego geniusza" wielonego w postacie Geyerów, Scheiblerów, Grohmanów i innych fundatorów wielkich łódzkich fabryk sukienniczych. Rzeczywistymi autorami „wielkiej kariery" Łodzi były autonomiczne władze Królestwa Polskiego które nie szczędziły troski, wysiłków i środków finansowych dla celów uprzemysłowienia kraju. Zaś najbardziej i bezpośrednio do powstania i rozwoju Łodzi przemysłowej przyczynił się niezapomniany Rajmund Rembieliński, prezes komisji województwa mazowieckiego, do którego Łódź wówczas administracyjnie należała. Łódzki ośrodek przemysłu włókienniczego stał się dla Rembielińskiego obiektem godnym szczególnej uwagi, nieustannych a płodnych zabiegów administracyjnych i przewidującego planowania gospodarczego. Oczywiście rozwojowi Łodzi, podobnie jak industrializacji Królestwa Polskiego w ogóle, wysoce sprzyjał klimat narodzin systemu kapitalistycznego w całej Europie, który to system — w zestawieniu z upadającym ostatecznie feudalizmem był podówczas ustrojem postępowym i twórczym.

Na zakończenie tego, bardzo sumarycznego, omówienia pracy H. S. Dintera wspomnimy jeszcze, że jej tekst ilustrują liczne, bardzo ciekawe fotokopie i zdjęcia fotograficzne związane z historią dawnej Łodzi. Zespół prac poświęconych temu zagadnieniu — dzięki książce Dintera — wzbogacił się o jeszcze jedną cenną pozycję.

„Wydawnictwo Łódzkie", 1965. str. 237 i 3 nlb. 35 zł.

Półka z książkami

„WINNICA JOANNY"

Stosunkowo wiele pisano już o wojnie. W ostatnich latach poza prozą artystyczną pojawiło się wiele pamiętników. Autorzy tych książek starali się pokazać nam losy synów naszego narodu we wszystkich niemalże zakątkach świata. Jakże niewiele wiemy jednak o losach Polaków wcielonych siłą do armii niemieckiej, o tych którzy niejako przymusowo stali się Niemcami z racji zamieszkiwania na terytoriach zagrabionych przez Niemców, a już na pewno przymusowo stawali się żołnierzami Wehrmachtu. Oni to — Ślązacy, Poznaniacy, Mazurzy i Lubuszanie — znani byli z tego, że wbrew obowiązującym przepisom traktowali łagodnie podbite ludy, a nawet starali się w miarę możliwości pomagać uciemiężonym przez okupanta. Oni stanowili odłam armii, który buntował się przeciw nieludzkim zarządzeniom dowództwa, oni organizowali sabotaż w armii hitlerowskiej, oni wreszcie organizowali masowe ucieczki do oddziałów armii sprzymierzonych, które stały po przeciwnej stronie frontu.

Kiedy przyjrzeć się bliżej losom tych ludzi, to możemy łatwo dojść do przekonania, że znajdowali się oni w gorszej sytuacji od tych, którzy byli okupowani i traktowani przez hitlerowców jako przeciwnicy. Bo przecież nosili oni mundury niemieckie, co budziło u każdego nieufność. Z drugiej strony, byli wystawieni na szykany i podejrzenia hitlerowców, jeśli nie na obozy, czy służbę w karnych oddziałach, gdzie dziesiątkowano ich bez pardonu.

Losy Lubuszan, których Niemcy wcielili do armii i rzucili na fronty opisał w swojej książce Romuald Pitera. Tragiczne losy głównego bohatera kończą się po wojnie, gdy wraca na swoją ziemię, ale musi wtedy zaczynać życie od początku, bo nie może odnaleźć, ani swych bliskich, których rozproszyła wojna, ani domu, który legł w gruzach. Książkę tę — dynamiczną, pełną dramatycznych spięć i pozbawioną posmaku schematu, jaki kojarzy się zazwyczaj z podjętą przez Piterę tematyką, czyta się jednym tchem.

JHW

Romuald Pitera „Winnica Joanny" LSW Warszawa 1965, cena 17 zł.

„ANIOŁY PŁAKAĆ BĘDĄ"

Charakterystyczną cechą młodej prozy jest zamiłowanie do retrospekcji. Młodzi pisarze chętnie sięgają do przeszłości swych bohaterów, by tym lepiej pokazać, jak kształtowała się osobowość człowieka, który żyje i działa współcześnie. Bohaterem powieści Ryszarda Kłysia jest chirurg ze szpitala w Nowej Hucie, Doktor Gara, bo tak brzmi nazwisko bohatera, został pokazany w dwu planach. Ten z przeszłości, sprzed trzydziestu lat i z czasów okupacji mówi o sobie w pierwszej osobie. Autor ukazuje go na tle dzielnicy Krakowa, w której bohater żył, w otoczce ludzi, żyjących dziś, ukazuje wszystkie konflikty, które kształtowały jego postawę, wszystkie uwarunkowania społeczne i obyczajowe, składające się niejako na postać jego chirurga.

W książce wygląda to tak, że jeden rozdział poświęcony jest tamtemu człowiekowi — z przeszłości, drugi temu, który żyje dziś. Gara jest bohaterem pozytywnym, lekarzem (jakże to przypomina bohaterów powieści pozytywistycznej), zaangażowanym emocjonalnie i intelektualnie w to wszystko co dzieje się u nas na co dzień. Ale trzeba to powiedzieć na korzyść autora, że bohater powieści Kłysia nie jest tym łatwym, schematycznym bohaterem pozytywnym, który wie o co walczy i zawsze odnosi zwycięstwa. Wręcz przeciwnie. Gara-chirurg, który co chwila styka się ze śmiercią, który walczy o życie ludzkie, potrafił także zabijać. Teraz jest zmęczony, zmęczony tym ciągłym stykaniem się ze śmiercią i konfliktami jakie rodzą się współcześnie. I tu Kłyś nie waha się, lecz śmiało podejmuje tematy, którymi na ogół zajmuje się publicystyka społeczna. Wychodzi z tego zwycięsko, choć tu i ówdzie można by mu zarzucić tendencję do uproszczeń.

W sumie jednak otrzymaliśmy dobrą powieść współczesną.

JHW

Ryszard Kłyś „Anioły płakać będą" WL Kraków 1965 str. 466 cena 32 zł.

„NOTATNIK KRAKOWSKI"

Czasy „Zielonego balonika" odżyły! Franciszek Klein w swoim świetnym „Notatniku krakowskim" opisuje Kraków Wyspiańskiego, Styki, Wyczółkowskiego, Sichulskiego i innych. Ta „brać malarska" przewija się przez książkę odsłaniając zapomniane szczegóły z epoki, która w naszej kulturze ma poczesne, a zarazem szczególne miejsce.

Czytając tę książkę, mimo woli poddajemy się urokowi dawnych, niespokojnych czasów, owej bohemie królującej w Jamie Michalikowej, oraz urokowi starego Krakowa, którego specyfikę autor umiał wyczuć i znakomicie nakreślić.

Nieżyjący od dwóch lat, dr Franciszek Klein, całe swe życie związał z tym osobliwym „miastem królów", poświęcając mu niejedną ze swoich prac. Koneser sztuki, wykładowca w Akademii Sztuk Pięknych, umiał Klein, z właściwą artystom wnikliwością, często posługując się anegdotą, pokazać ludzi takimi, jakimi byli na co dzień.

Sporo miejsca poświeca autor Matejce, którego znał osobiście oraz, w ostatnich rozdziałach, Xaweremu Dunikowskiemu, z którym utrzymywał bliskie stosunki przyjacielskie.

Książka została wydana przez Wydawnictwo Literackie, bogato ilustrowana z kolorowa wkładką dekoracji do „Nocy Listopadowej" wykonaną przez Wyspiańskiego.

E. I.

Franciszek Klein: Notatnik krakowski. Wyd. Wydawnictwo Literackie. 1965 r. Stron 204. Cena 25 zł.

REGINA ELKANOWA

Teatr na eksport

W szóstym dniu pobytu w Jugosławii, wieczorem, dojeżdżamy do Szybenika. Ci, którzy byli tu już przed dwoma laty pokazują nam przez szyby autokaru rozległy port i z miną stałych bywalców koncentrują uwagę nowicjuszów na coraz to innych punktach opowiadając chaotycznie o związanych z nimi swoich przeżyciach. Dopiero na brzegu kanału, po wyjściu z samochodu, wszyscy stoją cicho urzeczeni urodą miasta.

W oczekiwaniu na prom, który wiąże odcinki głównej arterii komunikacyjnej biegnącej wzdłuż Adriatyku, przerwanej kanałem u ujścia rzeki Krki, koledzy z Zagrzebia zapoznają nas z historią Szybenika.

Stary gród chorwacki w przyszłym roku będzie obchodził dziewięćsetlecie. Założony u zarania dziejów Chorwacji na środku wybrzeża Adriatyku jako pierwsza twierdza nadmorska przechodził koleje wielu granicznych warowni. Łupiony stale przez najeźdźców, okupowany kilkaset lat przez Wenecjan, oblegany przez Turków Ottomańskich, dostał się po pierwszej wojnie światowej w ręce Włochów. W czasie drugiej wojny ucierpiał wiele od nalotów. Chorwaci od wieków bronili się, ulegali przemocy, organizowali powstania, przelewali krew w walce o wyzwolenie. W ostatniej wojnie ponad tysiąc obywateli Szybenika oddało życie za wolność kraju. — Ta krótka historia, jakże czytelna dla nas, Polaków, zbliża nas szybciej do mieszkańców miasta niż podróż promem.

Dziś miasto dokładnie liczy 35 tys. mieszkańców, a wraz z zapleczem dziesięciu gmin stanowi powiat o 180 tys. mieszkańców. Od wyzwolenia w 1944 r. rozwija się tu przemysł metalurgiczny i włókienniczy, a największe w Jugosławii okoliczne plantacje winogron i lasy figowe stanowią nadal, jak od wieków podstawę przemysłu spożywczego. Port połączony najkrótszą linią kolejową ze środkiem kraju jest żywym punktem handlowym.

Teraz rozległe spojrzenie wkrąg na liczne wyspy rozrzucone po morzu. Te urocze zakątki przyrody, luksusowe plaże i łagodny klimat ściągają corocznie do Szybenika tysiące turystów z kraju i z za granicy.

Przedstawiciele Dyrekcji Festiwalu wyszli już po nas do portu, pomimo, że przyjechaliśmy o całą godzinę za wcześnie. Witamy się serdecznie, pełno okrzyków, uścisków, pocałunków. Otrzymujemy odrazu informatory, rozkład zajęć, posiłków, przedstawień, czujemy się wciągnięci w tryby robocze, zadomowieni, potrzebni.

V Jugosłowiański Festiwal Teatrów dla Dzieci rozpoczął się w Szybeniku 26 czerwca, skończył 5 lipca. Przybyło szesnaście zespołów teatralnych i baletów z całej Jugosławii. Codziennie odbywały się dwa spektakle (normalnie płatny wstęp) w godz. popołudniowych. Przed południem wygłaszano referaty programowe o zadaniach i roli teatru, baletu i muzyki w wychowaniu dziecka. Po referacie dyskusja i omawianie pokazów z dnia poprzedniego. W dyskusji brali udział dyrektorzy placówek, reżyserzy, scenografowie, literaci, dziennikarze i pedagodzy, pobieżnie doliczyłam się w sali zajęć ponad stu osób. Członkami Rady Festiwalu (festivalskog vijeca) są czołowi twórcy i pedagogowie, dwudziestu trzech ludzi reprezentujących wszystkie republiki. Dyrekcja festiwalu pracuje i biuro jest czynne przez cały rok. W podsumowaniu festiwalu Rada omawia osiągnięcia artystyczne placówek, walory dydaktyczne prezentowanego repertuaru, ustala hasło festiwalu na rok następny i kryteria, które zdecydują o dopuszczeniu teatru do pokazu w Szybeniku. Już teraz, zaledwie po pięciu latach, o samo dopuszczenie ubiega się ich wiele.

Nasz teatr zaproszono tu za pośrednictwem Teatru Lalek z Zagrzebia, już po raz drugi. Gramy przed gmachem Rady Narodowej. Na Placu Republiki ustawiono półkolem krzesła, prowizoryczną lożę wsparto o portal katedry; czterowiekowe kamienne lwy portalu i siedemdziesiąt dwie głowy obywateli miasta na fryzie wokół apsydy dołączają się do grona widzów. Nasze dekoracje nabierają nowego uroku w tę pogodną noc na tle pięknej renesansowej loggi ratusza, nad którą wyrastają stromo amfiteatralnie stłoczone, wielkie i małe domy z balkonikami, tarasami, wiszącymi schodami; wszystko to oświetlone dyskretnie tu i ówdzie z okna sączącym się światłem robi wrażenie wielkiej dekoracji teatralnej, w którą wtopiły się harmonijnie nasze aksamitne kotary i parawany, a uproszczone do minimum plansze stały się tylko komunikatywną informacją o zmianie miejsca akcji w wielkim mieście Zabawicach („Maski mistrza Fantaski").

W pierwszym dniu „Arlekinada" podbija widownię. Pomni na hasło tegorocznego festiwalu „Muzyka, taniec i śpiew" — wieźliśmy ją tutaj z niepokojem. Na całość programu składają się bowiem etiudy przygotowane w zamkniętych grupach aktorskich pracujących pod kierunkiem Zdzisława Owsika i Ryszarda Sikorskiego na zasadzie współzawodnictwa koleżeńskiego. Grupy dobierały sobie dowolnie do etiud skrajnie różne motywy muzyczne, tematy, środki wyrazu. Wszystkie grupy zrezygnowały ze słowa. Ograniczyły się do wypowiadania treści myślowych, uczuć i nastrojów przez muzykę, barwę, kształt, układ elementów plastycznych i ruch. Aktualna tematyka etiud, ich poetyckie zadumanie i uśmiech zaprobujący życie zdecydowały o włączeniu ich w repertuar teatru.

Na widowni przeważają dorośli i młodzież. Kilka numerów przyjmują burzliwymi oklaskami. Po spektaklu duże brawa, tłok za kulisami, pytania, gratulacje. Aktorzy są jednak zdenerwowani i niezadowoleni z siebie, twierdzą, że powinni byli zrobić to lepiej!

W drugim dniu wieczorem gramy „Maski mistrza Fantaski" Z Nawrockiej, w reżyserii Henryka Ryla, dekoracjach Edwarda Sturlisa, z muzyką Piotra Marczewskiego. I tym razem przeważają na widowni dorośli i młodzież. Głosy aktorów brzmią czysto, mocno piosenki wpadają w ucho, tu i ówdzie ktoś podchwytuje melodię.

Frenetyczne oklaski na zakończenie wyciągają aktorów przed parawan i kiedy z pod odchylonych zasłon pokazują uśmiechnięte, szczęśliwe twarze demaskując konstrukcję lalek umocowanych na głowach, zrywa się nowa fala oklasków i aprobujące okrzyki.

Po dyskusji wręczono nam pięć imiennych zaproszeń na przyjęcie u Przewodniczącego Rady Miasta.

Wolnych chwil mieliśmy niewiele, jednak każdy zdołał wynieść jakieś osobiste przeżycia. Mnie nęciło stare miasto i detale tego pomnika średniowiecznej sztuki budowlanej.

Z największą dumą pokazuje nam jeden z miejscowych działaczy politycznych wspaniałą katedrę, której ośmioczłonowa kopuła już w pierwszym dniu z tamtego brzegu kanału przyciągała naszą uwagę. Potężny portal z lwami i fryz z rzeźbionymi głowami ukazują mistrzostwo twórców. Wewnątrz piękne witraże i wymuskana przez artystę chrzcielnica, stanowiąca małą odrębną kapliczkę — przedsionek, gdzie wśród dekoracyjnych elementów ścian w zmyślnie pozwijanych kamiennych liściach zamknął rzeźbiarz i czuły zapewne muzyk wszystkie dźwięki gamy. Zakonnica uderza o te liście ołówkiem i słyszymy trójdźwięk zbliżony barwą do cymbałków dziecięcych.

Każdy zagadnięty mieszkaniec Szybenika mówi chętnie na temat starego miasta, katedry i jej twórcy Jurija Dalmatinaca, który całe swoje życie i talent oddał temu miastu. Wielka pasja ujarzmienia kamienia narastała zapewne przez wieki w pokoleniach chłopów zrodzonych w pobliżu gór Dynarskich, czy też na skalistych wyspach Adriatyku, aż wybuchnęła ogromnym talentem Jurija, który przywędrował ze wsi do drewnianego grodu w XV w. i rozpoczął wielkie dzieło swego życia. Wybudował katedrę i założył szkołę, w której dzielił się z uczniami tajemnicą sztuki budowlanej i rzeźbiarskiej. Dokończyli jego dzieła w ciągu dwustu lat natchnieni tak jednorodną ideą twórczą, że całemu miastu nadali kształt architektoniczny uderzający do dziś dnia harmonią wielorakich elementów.

Zostało nam jeszcze kilka zbyt krótkich godzin na plażowanie. „Łono natury" jest tu jak na nasze gusta zbyt obficie przerośnięte ostrymi kamieniami. Nie odstrasza nas jednak ani to, ani jeże morskie, ani kraby. Moczymy ciała w słonej wodzie unikając dna i kładziemy się na ręcznikach rozłożonych na gładkiej, wyłożonej kamieniami plaży. Kiedy słońce zbytnio przypieka uciekamy z wyspy statkiem, bo niebezpieczny jest spacer po nadbrzeżnym lesie, gdzie kamienie „rosną" całymi koloniami: małe, duże i ogromne, a wszystkie ostre, zaczepne. Ukryte w lesie i osadzone na największych głazach domki campingowe są już zamieszkane, kabiny wszystkie wynajęte, kawiarnia zbyt kosztowna.

Czwartego dnia rankiem pełnym słońca wyruszamy w drogę powrotną. Nasi gospodarze zerwali się ze snu, by nas pożegnać. Za chwilę prom wróci do miasta. Wsiadamy do autokaru, ostatnie gesty pożegnania, kierowca zapuszcza motor, prom odbija od brzegu. Patrzymy w milczeniu na uciekające miasto. Kamienny gród żegna nas w bielutkich szatach godowych swoich domów nakrytych czapami dachów stroinych czerwoną esówką i felcówką, wymytą do czysta ulewą.

KRONIKA Antytelewizyjna

ŚPIEW, SPORT ITD.

Czy kto lubi śpiew czy nie, czy kto przepada za sportem czy nie, musi przyznać, że w programie telewizyjnym ubiegłego tygodnia mieliśmy dwa wydarzenia: piąty Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie i również piąte z kolei spotkanie lekkoatletyczne Polska — Stany Zjednoczone w Warszawie. O festiwalu sopockim piszę specjalny wysłannik „Odgłosów" na innym miejscu, ale niechże i mnie będzie wolno wtrącić tutaj swoje trzy grosze. Z pewnością najciekawszym dniem festiwalu był dzień ostatni, kiedy uczestnicy śpiewali swoje ulubione piosenki, często bardzo już znane i spopularyzowane jak np. ballada Mackie Majchra z „Opery za 3 grosze" Brechta. Natomiast drugi dzień festiwalu (polski) i pierwszy (międzynarodowy) były, moim zdaniem, słabe, a nawet zupełnie nieciekawe. Przedstawiciele dwudziestu ośmiu narodowości śpiewali piosenki, z których żadna nie wdrożyła się w naszą pamięć, nie odznaczające się wyrazistszą melodią, a i wykonanie pozbawione było w większości wypadków należytej ekspresji. Zawiodły również piosenki polskie, wykonywane przez cudzoziemców. Niektóre wykonane były wręcz karykaturalnie jak np. piosenka Łazuki „Dzisiaj, jutro" w interpretacji uczestnika z NRF. Należy także mieć pretensję, że dopuszczono do festiwalu Małgorzatę czy też Katarzynę Prus, która całkowicie zawiodła. Czy nie można było wytypować innej, lepszej śpiewaczki polskiej?

Na mecz lekkoatletyczny Polska — Stany Zjednoczone kibice nasi (i ja wśród nich) czekali w napięciu i z niepokojem. Wiadomo było, że nie damy Amerykanom rady, lęk sprowadzał się jedynie do tego, by przewaga Amerykanów nie wypadła zbyt wysoko. No cóż, jeśli o konkurencje męskie chodzi — przegraliśmy dość znacznie, bo aż 25 punktami. Dzielnie spisały się Polki, a zwłaszcza i przede wszystkim Kirszenstein i Kłobukowska, które wykazały rewelacyjną formę. A ponieważ są to zawodniczki młode, wiele się jeszcze po nich należy spodziewać.

Trzeba jednak stwierdzić, że są konkurencje, w których Polacy nie mają, niestety, nic do powiedzenia. To biegi przez płotki i biegi długodystansowe. I tu nasuwają się pytania: czy zrobiono już wszystko w zakresie rekrutacji zawodników? Czy nie kryją się w jakimś mieście czy miasteczku biegacze jeszcze nie odkryci? Trzeba mieć również pretensje do kierownictwa za skład sztafety męskiej na czterysta metrów. Polacy pobiegli słabo przez trzy zmiany i Badeński na zmianie ostatniej nie był w stanie odrobić strat i zaległości. Z pewnością były inne możliwości składu zawodników, niestety nie skorzystano z nich.

Mimo przegranej mecz był piękny i my kibice mieliśmy wiele przeżyć i emocji. Pogoda dopisała, a i transmisja telewizyjna odbyła się tym razem bez żadnych awarii. Gorzej nieco pod tym względem było z przekazywaniem Festiwalu Sopockiego. Wyobrażam sobie, jak denerwowali się słuchacze zagraniczni, kiedy nagle zabrakło w odbiorze głosu, albo pojawiały się znane napisy: „Zakłócenia. Nie regulować odbiorników".

W dniach poprzedzających te dwa opisane wyżej wydarzenia, słuchałem z Katowic audycji o młodzieży pn. „Tacy jesteśmy". Jak to zwykle bywa, w dyskusji o młodzieży biorą udział wszyscy, tylko nie sami zainteresowani tzn. nie młodzież. W audycji dwóch socjologów dzieliło się spostrzeżeniami o naszej współczesnej młodzieży. Dziwna jest ta nauka: socjologia. Badacze przeprowadzają wiele badań, by stwierdzić rzecz oczywistą, powszechnie znaną. Jeden z socjologów, biorących udział w omawianej audycji,

powiedział, opierając się na wynikach badań, że młodzież ma ideały życiowe i że nie wszyscy mają niechętny stosunek do nauki. Ależ my to wiemy i bez badań. Trudno sobie wyobrazić, by cała młodzież bimbała sobie z nauki, czy też by miała lekkomyślny stosunek do swojej własnej przyszłości.

Szczerze mówiąc wolałbym, by zabrała głos sama młodzież i wyznała, niechby naiwnie ale szczerze, co sądzi o sobie i swoich planach i dążeniach. Niedoczekamy się tego. Młodzież jest skryta i mówić o sobie nie chce. Ani w audycjach telewizyjnych, ani na zebraniach, gdzie wprawdzie młodzi ludzie są obecni, lecz „zasznurowani" na amen. Więc przemawiają i dyskutują dorośli, a od nich nie dowiemy się prawdy o młodzieży, bo jej nie znają.

JACEK WIERZBIŃSKI

Ostatnia miłość Hemingway'a

Wreszcie dowiadujemy się kim jest bohaterka powieści „Za rzekę w cień drzew".

We Włoszech książka ukazała się w 15 lat po jej wydaniu w Ameryce. Takie jednak było życzenie autora skierowane do włoskiego wydawcy. Wiadomo, że Hemingway przerwał pracę nad tą książką, kiedy poznał młodą, wenecką arystokratkę. Niebawem na nowo podjął pisanie dając swej bohaterce twarz Renaty. Kiedy w 1950 r. książka pojawiła się w Ameryce, wszyscy pytali kto był natchnieniem dla autora?...

Jeżeli Renata znaczyła wiele dla Cantwell'a, prawdziwa wenecjanka wniosła niemniej w życie pisarza. Możemy wreszcie dać odpowiedź na pytanie pasjonujące milionu czytelników. Wiemy kim jest Renata, wiemy jak wygląda dziewczyna, której twarz i postać uwiecznił w swej książce pisarz. Ten sam „profil Inków", długie, spadające na ramiona włosy, szlachetna linia szyi dumna postawa.. Nazywa się Adriana Iwancich. Urodziła się 35 lat temu. Mając lat 19 poznała Hemingway'a. Pochodzi ze starej arystokratycznej rodziny dalmatyńskiej. Teraz mieszka w Mediolanie. Maluje i pisze. Jest poetką. Listy pisarza — 11-letnią korespondencję — zamknęła w zielonej kasetce. W 1952 r. wydała swój pierwszy tom poezji. Jej to dedykował Hemingway swój najlepszy utwór „Stary człowiek i morze" oraz „Za rzekę, w cień drzew".

Oto co mówi Renata:

„Pewnego jesiennego popołudnia 1949 r. czekałam w Udine na przyjaciół, z którymi mieliśmy się udać na polowanie. Padał, drobny, przejmujący deszcz. Wiedziałam, że będzie z nami Hemingway, ale nie robiło to na mnie większego wrażenia. Po wojnie było we Włoszech bardzo wielu pisarzy anglosaskich. O Hemingway'u słyszałam niewiele... Duży niebieski Buick, nie należał do moich kolegów. Jakiś nieznajomy głos zawołał mnie po imieniu. To był głos Hemingway'a; jego też był samochód. Wtedy ujrzałam go po raz pierwszy. Siedział na przednim siedzeniu i odwróciwszy się patrzał na mnie.

— „Wybacz Adriano, to spóźnienie z mojej winy". — Uśmiechnął się. Nazajutrz również padał deszcz. Wszystko było mokre, ubranie, włosy...

Hemingway brał udział w polowaniu, które trwało wiele godzin. W starej winiarni, na kominie buzował ogień, a wino wlewało w krew życie. Wspominano różne, myśliwskie przygody. Hemingway opowiadał o polowaniach w Afryce, w Hiszpanii, na Kubie. Mokre włosy spadały mi na oczy. Poprosiłam o grzebień. Nikt nie usłyszał. Powtórzyłam swoją prośbę. Wtedy tuż obok siebie ujrzałam masywną postać pisarza, podającego mi grzebień. Zaczęliśmy rozmawiać. Kiedy wieczorem żegnałam go prosił o spotkanie w dniu jutrzejszym. A potem każdy następny dzień był kolejnym naszym spotkaniem.

W tym czasie zapraszał nas często do Torcello, gdzie spotykaliśmy się w kawiarni Grilli. Pewnego wieczoru Hemingway opowiadał o corridzie. Była z nami wtedy grecka księżniczka Aspazja i kilku moich znajomych. Po kolacji wstał, chwycił serwetę i przystąpił do ataku. „Aha, aha, aha" wołaliśmy, klaszcząc w dłonie. Był naprawdę podobny do byka. Twarz jego przybrała surowy, skupiony wyraz. Dokoła zgromadzili się zaciekawieni kelnerzy. Uśmiechnięta pogodnie księżniczka Aspazja obserwowała scenę. Wreszcie po ciężkim wysiłku otarł spocone czoło. — „Brawo byku — powiedziała żona Hemingwaya — Mary — ofiarowując mu czerwony goździk — „Oto medal za odwagę".

W jaki sposób mogłam mu być pomocną — zrozumiałam to znacznie później. Hemingway powiedział mi, że na skutek zranienia głowy, opuściwszy szpital, nie był w stanie pisać. Wtedy przerwał pracę nad książką. „Za rzekę w cień drzew". Ale niebawem po naszym spotkaniu odnalazł we mnie nowe źródło energii. — „Wreszcie mogłem ją ukończyć, dając bohaterce twoją twarz. Teraz napiszę coś tylko dla ciebie, będzie to moja najpiękniejsza książka, opowiem w niej o starym człowieku i o morzu".

Rozmowy absorbowały nas bez reszty. On mówił dużo o sobie o swoim synu, o Afryce, Kubie, o swych nadziejach... Ja recytowałam moje wiersze.

Pewnego razu, kiedy przyszedł oznajmiłam mu, że mam dla niego niespodziankę. Przygotowałam rysunki do książki „Za rzekę w cień drzew". Oglądając spytał czy może je zabrać — „Po co?" — To będzie moja dla ciebie niespodzianka!" — powiedział.

Niebawem w Paryżu zaprosił mnie na kolację do Ritza. — „To Charlie Scribners." Nie chciał wierzyć, że to twoje rysunki". — „Rysunki są mocne a kolory niepodobne do tych jakie zwykły używać kobiety" — oświadczył Scribners. W Tenerifie, dokąd pojechałam z matką i bratem zobaczyłam na wystawie jego książkę i moje w niej ilustracje.

Kuba! Hawana! Cierpki zapach smagłej skóry, wesoła wrzawa ludzi i portu, długa promenada wśród drzew i kwiatów, malutkie, drewniane domki i Finca Vigia — willa Hemingway'a.

Zamieszkaliśmy blisko Finca Vigia. Wokół szumiały drzewa, kwitły orchidee i była Torre! Torre — biała wieża na tle błękitu kubańskiego nieba. Na I piętrze czterdzieści kotów, na II — gabinet pisarza na III — rysowałam i pisałam wiersze.

Pisał zawsze stojąc przy maszynie. Wciąż przerywał pracę, spacerował i znów uderzał w czcionki. Po każdym zdaniu robił przerwę. Wiedziałam, że nie wolno mu wtedy przeszkadzać.

— „Musisz mi zrobić radość i jechać ze mną do Cojinar". Przejeżdżając przez łagodne wzgórza kubańskie powiedział — „Nie chcę niczego więcej, jak tylko tego, żebyś patrzyła na ocean razem ze mną. Chcę złączyć nasze spojrzenia".

W liście z 12 kwietnia 1952 r. Hemingway wspomina o swej nowej książce „Stary człowiek i morze". — Wszyscy twierdzą, że to najlepsza moja praca. Jeśli tak jest naprawdę to znaczy, że osiągnąłem cel do jakiego dążyłem. Ale nie mogę poprzestać, muszę iść dalej, do jeszcze lepszego...

Zanim jeszcze Mondadori wydał moje wiersze Hemingway pisał do mnie. — „Wiersze są bardzo dobre. Ale nie jestem krytykiem i trudno mi powiedzieć dlaczego są dobre. Jesteś zdolną dziewczyną, musisz pisać o tym co czujesz i pisać coraz lepiej". — List nosi datę 1.X.1952 r.

Kiedy po raz pierwszy przeczytałam „Za rzekę w cień drzew" powiedziałam mu, że nie zainteresowała mnie. — „Renata jest nieprawdziwa, pełna wewnętrznych sprzeczności". — „Jesteś za bardzo różna, aby zrozumieć — bronił się Hemingway — ale zapewniam cię, że są takie dziewczyny. A zresztą Renata to nie jedna, ale cztery różne kobiety, i wszystkie je znałem".

Pobyt na Kubie skończył się nagle. Ktoś przekazał mojej matce artykuł jaki pojawił się w prasie francuskiej. Obok Renaty widniało i moje imię. Nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, nie przywiązywałam do tego wagi. Matka zdecydowała jednak, że musimy natychmiast wracać.

W rok potem otrzymałam list z Finca Vigia.

— „Jeżeli potrafię pisać jest to dowód, że pracowaliśmy dobrze. Może nigdy nie powinienem był cię ujrzeć?... może nie powinienem był cię spotkać wtedy wśród deszczu?... Ludzie zazdroszczą tym, którzy są szczęśliwi. Trudno walczyć z plotką. Jedyna broń przeciw kłamstwu — to prawda! *(L)*

IONESCO ALBO ZABAWNA MAKABRA

Słynny autor „Nosorożca" skarży się, że pracuje tylko cztery miesiące w roku, a przez pozostałe osiem miesięcy... cierpi ponieważ — nie pisze. O swej ostatniej sztuce „Pragnienie i głód" powiada Ionesco, że jej tematem jest tułaczka człowieka w poszukiwaniu niewiadomo czego. Lektura sztuki nie rozprasza niejasności. Bohater Jan ucieka z jakiegoś domu, czeka na jakiejś równinie na jakąś kobietę, która się nie zjawia, w końcu trafia do jakiegoś miejsca zamknięcia w rodzaju więzienia, klasztoru, obozu koncentracyjnego, miejsca, które jednak nie jest żadnym z trzech wymienionych miejsc odosobnienia. Ionesco wyraża obawę, że będą go porównywać z Kafką, chociaż — jak powiada — sztukę „Pragnienie i głód" można nazwać tylko jego osobistym koszmarem. Sztuka ta składa się z trzech epizodów, z których konieczny w obecnym stanie jest tylko jeden. Dwa pozostałe zostaną napisane jeszcze raz na nowo. W swoich najbliższych planach Ionesco przewiduje napisanie sztuki pt. „Dżuma" według utworu Daniela Defoe „Dziennik z roku dżumy". W sztuce tej — obiecuje autor z radosnym optymizmem — ludzie (bohaterowie) będą umierali setkami! Bardzo zabawne, prawda? Autor wyraża nadzieję, że będzie to najbardziej zabawna sztuka ze wszystkich sztuk, jakie dotąd napisał.

STRACH MA WIELKIE OCZY

Wielki poeta włoski, laureat nagrody Nobla, Salvatore Quasimodo ostrzegał przyjacielsko organizatorów dorocznego Tygodnia Poezji w Spoleto przed niespodziankami, jakich można oczekiwać w związku z przybyciem zaproszonego na Festiwal sławnego amerykańskiego poety Ezry Pounda. Jak wiadomo, Ezra Pound, sympatyk i zwolennik Mussoliniego, przebywający w czasie ostatniej wojny we Włoszech, został po wkroczeniu wojsk amerykańskich aresztowany i osadzony w więzieniu w Pizie. Następnie, internowany w Zakładzie Psychiatrycznym, został uznany za niepoczytalnego, co mu oszczędziło procesu o zdradę kraju. Można sobie wyobrazić przerażenie członków komitetu organizacyjnego Tygodnia Poezji, gdy Ezra Pound lądujący na włoskiej ziemi powitał ich wzniesioną po faszystowsku ręką. Ale skończyło się na strachu i do żadnych dalszych ekscesów ani skandalicznych incydentów nie doszło. Dziś sławny poeta Ezra Pound jest już starym człowiekiem i nikt od niego już niczego nie oczekuje ponad to, co dał światu i poezji. Gdy zjawia się na sali, milkną rozmowy i stary poeta przechodzi w ciszy pełnej szacunku. Zaś na ulicy matki podnoszą na rękach dzieci w górę i pokazując im smukłego starca z bujną siwą czupryną mówią: Oto poeta!

AUDIBERTI

W Paryżu zmarł w wieku lat sześćdziesięciu sześciu Jacques Serafim Audiberti, liryk, dramaturg, powieściopisarz i eseista. Audiberti był synem majstra murarskiego i przedsiębiorcy budowlanego z południowej Francji (Antibes). W dwudziestym szóstym roku życia wyjechał do Paryża, gdzie współpracował jako felietonista z różnymi czasopismami. Jednocześnie uprawiał poezję (tomy wierszy „Rasa ludzi", „Piękno miłości" i in.) i prozę (powieści „Abraxas", „Rzeź", „Mistrz z Mediolanu" i in.), w których rzeczywistość z pogranicza snu i jawy podlega deformacji z rzadka kontrolowanej rygorami myślowymi. W jego sztukach teatralnych, przesiąkniętych erotyzmem („Zło krąży", „Cesarz" i inne) krzyżują się wpływy Salacrou, Jarry i Giraudoux. W manifeście poetyckim, wydanym w 1942 roku („La nouvelle origine") Audiberti głosi konieczność powrotu do retoryki i określa rolę pisarza, który — jego zdaniem — nie powinien opisywać ani definiować świata, lecz tworzyć go z chaosu.

SZKOŁA TOLERANCJI

Od paru tygodni przebywa w Europie nowojorski Negro-Theatre ze sztuką głośnego murzyńskiego pisarza Jamesa Baldwina „Amen Corner". Trupa murzyńska występowała w Wiedniu, Zurichu, Mediolanie, Turynie, Hamburgu i Berlinie. Obecnie teatr ten wybiera się do Izraela. James Baldwin jest również prozaikiem, autorem powieści „Idź, głoś to na górze" i „Pokój Giovanniego". U nas ten wybitny pisarz amerykański znany jest z opowiadania „Dziś rano, dziś wieczór, tak prędko" wydanego przez Państwowy Instytut Wydawniczy w serii „Jednorożca". Baldwin nie uważa siebie za pisarza murzyńskiego, lecz za amerykańskiego, walczą cego o to, żeby jego społeczeństwo umiało uszanować w pełni osobowość każdego człowieka. Walkę tę prowadzi Baldwin również jako działacz (w 1963 roku uczestniczył w słynnym marszu na Waszyngton). W wywiadzie udzielonym w czasie swego pobytu w Europie Baldwin powiedział: „W Ameryce wielu ludzi jest emigrantami we własnym kraju i żyje, jak na wygnaniu. Przeszedłem przez twardą szkołę nietolerancji i doszedłem do przekonania, że nietolerancja deformuje człowieka nawet wtedy, gdy jest samoobroną. Dzisiaj staram się być zawsze przyjacielski w stosunkach z ludźmi i nie przychodzi mi to z trudem".

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ŻÓŁTA GWIAZDA

Autor wielkiego artykułu w jednym z ostatnich numerów „Nouvelles Litteraires" porównywa zarządzenia Hitlera z czasów okupacji, zobowiązujące Żydów do noszenia żółtej gwiazdy, z efektem, jaki wywołała książka Rogera Peyrefitte'a „Żydzi", demaskująca sfrancuziałych Żydów, ukrywających swe pochodzenie pod świadectwami chrztu, związków małżeńskich i pod zmienionymi nazwiskami. Okazuje się też, że Peyrefitte posiada znacznie więcej wiedzy niż autorzy artykułów norymberskich: tamtym wystarczało pochodzenie udowodnione w trzecim pokoleniu, podczas gdy Peyrefitte nie zakreśla żadnych granic generacji i w ten sposób „odsłania" żydowskie pochodzenie de Gaulle'a, Adenauera, Johnsona, Franco, Salazara, Cezanne'a, Rubensa, Daudeta, Maurrasa, Sartre'a, Benoit, Mauriaca i innych. Naturalnie, „źródłem" dowodów żydowskiego pochodzenia wielu z tych domniemanych sławnych ludzi jest tylko... bujna wyobraźnia Peyrefitta, który pisząc na przykład o eks-ministrze Michelet sięga do jego prapraprapradziadka z 1300 roku (XIV wiek). Należy przy tym jednak podkreślić, że w książce Peyrefitta nie ma śladu antysemityzmu! Przeciwnie, recenzent zaznacza lojalnie, że można z niej nawet wyciągnąć wniosek: Jeżeli we wszystkich Francuzach płynie w mniejszym lub większym stopniu krew żydowska, to czas, żeby (abstrahując od zasadniczych względów humanitaryzmu) antysemityzm ostatecznie został odłożony do lamusa.

NIEROZWIĄZANA ZAGADKA

Opinia świata dała wyraz swemu uznaniu obdarzając pierwszego sekretarza ONZ Hammarskjölda pokojową nagrodą Nobla, rodzina położyła na jego grobie wieniec z jednym słowem na szarfie „Dlaczego?" Po śmierci Hammarskjölda 17 sierpnia 1961 roku zostały wysunięte dwie tezy. Pierwsza — że katastrofa, w której zginął, nie została zawiniona przez nikogo. Druga — że katastrofa była rezultatem sabotażu lub ataku ze strony katangijskiego myśliwca powietrznego. Ale jest jeszcze trzecia, późniejsza teza, że sekretarz generalny ONZ popełnił samobójstwo. Jako dowód tej trzeciej hipotezy przytacza się fakt, że Hammarskjöld na parę miesięcy przed śmiercią zdradzał objawy schizofrenicznej manii wielkości cierpiąc na tzw. kompleks Chrystusa (Zbawiciela świata). Według tej tezy sekretarz generalny ONZ miał użyć ładunku wybuchowego, który spowodował katastrofę, zaś przyczyną samobójstwa miał być krwawy chaos w Kongo, za spowodowanie którego Hammarskjöld czuł się współwinny. Czy dziś po czterech latach od katastrofy istnieje możliwość rozwiązania tragicznej zagadki? Należy w to wątpić.

POMOC DLA WIETNAMU!
Grafika Austriaka Hansa Eschera

○ **JESIENIĄ** 1966 roku Bergman nakręci swój 27 film. Będzie on nosił tytuł „Persona-kinematographie Opus 27". Już sam tytuł zapowiada podjęcie pewnego rodzaju dialogu z Fellinim („8½") i próbę obrachunku z samym sobą.

Ingmar Bergman należy do najpracowitszych twórców świata filmowego. Od roku 1945 tworzył on z niezwykłą systematycznością często i dwa obrazy w ciągu 10 miesięcy. Ten heroiczny wysiłek trzeba było jednak drogo opłacić: choroba płuc zmusiła Bergmana do przerwania realizacji „Wroga ludzi", do zerwania kontraktów z teatrami Hamburga i Paryża. Groźna infekcja płuc zakończyła się wielomiesięcznym pobytem w sanatorium. W kołach filmowych zaczęto przebąkiwać, iż niewiadomo czy wielki Ingmar wogóle kiedykolwiek wróci jeszcze na plan.

A tymczasem Bergman sprawił znów niespodziankę. „Tak się nudziłem w tym sanatorium, że dla zabicia czasu zacząłem pisać. Pisałem, pisałem, a kiedy to wszystko sobie odczytałem — okazało się, że to gotowy scenariusz, mój przyszły „Opus 27". No i cieszę się, że jeszcze raz będę gotować taką zupę...".

Tytuł „Persona" oznaczał w łacinie maskę aktora. I to słowo stanowi metaforyczna formułę wyjaśniającą treść i sens obrazu. Oczywiście Bergman znów rozstrzygać będzie problemy psychologiczne. Tym razem skonfrontuje on dwie kobiety związane szczególnym ambiwalentnym, innym niż w „Milczeniu" uczuciem. Jedna z tych kobiet to młoda aktorka, druga to siostra szpitalna. Role te powierzył Bergman Bibi Andersson i Liv Ullmann (patrz zdjęcie).

Wiele w tym filmie będzie subiektywnych obserwacji i doznań autora: atmosfera szpitalna, zawiązanie się dramatycznej akcji — jak w przypadku choroby Bergmana — związane z infekcja płuc wreszcie obsesyjne, powracający nie pierwszy raz w jego twórczości plener wyspy Gotland. Również i tytuł nawiązuje do tematów obsesyjnych w twórczości Bergmana: drabanci, aktorzy wędrowni, włóczędzy — to metaforyczne ukazanie życia ludzkiego — pamiętamy przecież i z „7 pieczęci", i z „Wieczoru kuglarzy". Maskarada była również tematem do filmu Bergmana — nieznanej u nas „Twarzy".

Ci, którzy już zapoznali się ze scenariuszem, mówią o przemianie jaka przyniosła choroba wielkiego reżysera. Jak przemiana ta wyrazi się w warstwie artystycznej i filozoficznej filmu tego moralisty — okaże przyszłość. Na razie widać przełom w metodach pracy. Ingmar Bergman stał się łagodny i wyrozumiały. Pozwolił nawet Bibi Andersson na zawarcie korzystnego kontraktu z pewną firmą amerykańską, co więcej, dla niej skrócił swój harmonogram pracy, tak że film ma być skończony do 10 września.

A przecież jeszcze niedawno Ingmar Bergman przeganiał ze swego zespołu każdego, kto ośmielił się prowadzić choćby tylko rozmowy na temat kontraktów z innym producentem.

○ **MARY HEMINGWAY**, wdowa po Ernieście Hemingwayu sprzedała amerykańskiej wytwórni Caedmon magnetofonowe nagrania pochodzące z archiwum zmarłego pisarza, które mają się ukazać w wyborze na płytach gramofonowych. Wśród taśm znajduje się m.in. i czytane przez wielkiego pisarza opowiadanie o pewnej przyjaciółce z wczesnych lat młodości. „Alicja ważyła wówczas 258 funtów — mówi swym zawsze młodzieńczym głosem Ernest Hemingway. — Za miłość liczyła sobie zazwyczaj dwa dolary, ale jeśli jej zasmakowała, nie trzeba było nic płacić. Mimo tuszy była bardzo piękną dziewczyną — i chyba wciąż jeszcze ją kocham..."

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Łódź jest wyjątkowo nieatrakcyjnym miastem dla turystów. Wcale się temu nie dziwię. Zdążyłem się już przyzwyczaić do niej, ale ciągle jej brzydota razi moje oczy. Wydaje się, że poza parkami, łodzianom nie potrzeba żadnych miejsc, na które można by popatrzeć z przyjemnością. Nawet fontanna, choćby zupełnie byle jaka, jest rarytasem.

Łodzianie spacerują głównie po Piotrkowskiej. Nasza niekoronowana promenada. Luksus!!! Prawda? Wokół pełno zieleni: trawa, drzewa, pięknie kwitnące krzewy, tu i ówdzie atrakcyjna fontanna, nawet rzeźby doskonale wkomponowane w przestrzeń — jak to się dzisiaj mówi.

Zmęczeni spacerowicze siadają na ławkach, inni wstępują do kawiarni i tam większość oblega miejsca na tarasach. Kawa, lody...

Przewidziało mi się? Nie! Pozwoliłem sobie na marzenia.

WTOREK

Od dawna narzekamy, że Łódź jest miastem bez pomników. Niestety, w tej dziedzinie nadal jedyną atrakcja jest rzeźba kobiety w pasażu. Gdzież nam do Sztokholmu, czy nawet Krakowa lub Warszawy. Narobiliśmy hałasu z okazji odsłonięcia pomnika J. Marchlewskiego. Bogacimy się... powoli nadrabiamy wszystko... jeśli chodzi o styl rzeźby, jesteśmy już w dziewiętnastym wieku!!!

Aby przyspieszyć tempo „doganiania", proponuję w tej chwili założyć klub pogrobowców futuryzmu. Po pięćdziesięciu latach przerwy znów zorganizujemy demonstracje pod hasłem: SZTUKA NA ULICE!!!

ŚRODA

Piotrkowska, nasza Starówka! Mamy te tradycje — starannie pielęgnowane. Co krok, to parterowa chałupka z drewna. Aż dziw, że żadna nie chowa się pod omszałym, słomianym dachem.

Ja bym je wszystkie wyburzył. Niechby zostały tylko dwie. W jednej muzeum — typowy XIX - wieczny domek włókniarza łódzkiego. W drugiej może by tak kawiarenkę, taka mała, zaciszną. Kelnerki w strojach mieszczek łódzkich z ubiegłego wieku...

Najprawdopodobniej będzie jednak tak: chałupki znikną za parę lat, na ich miejscu stanie Wielki Reprezentacyjny Gmach. Co godzina będzie zajeżdżać pod jego bramy dwadzieścia samochodów — z tego trzy najsprytniejsze będą miały szansę znaleźć miejsce na zaparkowanie.

Jak wam się to podoba?

CZWARTEK

W Łódzkim Domu Kultury (nawiasem mówiąc — przydałoby się wreszcie go otynkować, bo już straszy) studenci z Afganistanu zorganizowali wystawę obrazującą rozwój ich ojczyzny w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej. Ekspozycja niewielka. Polecam ją jednak jak najgoręcej. Jednocześnie prośba do naszych władz: — Inicjatywy podobne zdarzają się bardzo często. Pomóżcie im w miarę możliwości. Gdybyśmy musieli organizować podobne wystawy sami, kosztowałoby to wiele sił i pieniędzy.

Dzięki ich pomocy tanim kosztem można pokazać społeczeństwu wystawę, która na pewno wszystkich zainteresuje i na pewno zbliży kulturę egzotycznych dla nas narodów do ludzi, którzy mają o niej bardzo mętne pojęcie.

PIĄTEK

„Głos Robotniczy" z dn. 5 bm. przyniósł nam wiadomość, że w Klubie SARP można obejrzeć karykatury znanych łódzkich architektów wykonane przez Sławomira Arabskiego. Oczywiście pobiegłem tam czym prędzej. Drzwi zastałem zamknięte. Kartka przylepiona do nich głosiła, że w miesiącu sierpniu Klub nieczynny. Jeszcze jeden zawód. Nie mam żalu do architektów, nawet nie mam żalu do „Głosu", że wprowadził mnie w błąd.

Z przykrością jednak — muszę przyznać się do winy — donoszę, że wystawa w Łódzkim Domu Kultury na razie również jest nieczynna. Wszystko we wrześniu, poczekajmy więc do września!

SOBOTA

W „Exspressie Ilustrowanym" już od kilku miesięcy możemy oglądać cykl obrazków z kawałkiem tekstu pod każdym. Całość nosi tytuł „Jeździec w masce"!

Nie jestem przeciwnikiem komiksu. Przyznam się, że troskliwie przechowuję w domu niewielką książeczkę z takimi właśnie obrazkami. Tytuł — „Julius Caesar" by William Shakespeare. Classics Illustrated. Jest to tylko jedna z cyklu stu trzydziestu czterech, wśród których znajdują się takie pozycje, jak „Odyseja", „David Copperfield", „Lord Jim", nawet „Hamlet".

Prosze jednak nie sądzić, że te wspaniałe dziełka są wydawane w Anglii lub w USA. Nie. Printed in Poland. Oczywiście na eksport.

NIEDZIELA

Sprawozdanie!

„Do Parku Mickiewicza na Julianowie zapraszają Łódzkie Zakłady Metalowe i Zarząd Łódzki ZMS. W godzinach od 16 do 19 wystąpią: muzyczny zespół amatorski oraz aktorzy scen łódzkich. (Dziennik Łódzki z dn. 8—9 bm.)

Godz. 16 — tłum ludzi, estrada pusta; godz. 16.30 — wystawiono na estradę pianino; godz. 17.10 — konferansjer zapowiada występ zespołu amatorskiego, po którym wystąpią „prawdziwi artyści", następnie „prawdziwy artysta" wygłupia się (niestety) na estradzie, konferansjer opowiada dowcip (przytuliła się do niego pewna pani i przy okazji ukradła mu portfel), następują śpiewy, na szczęście już bez wygłupów, konferansjer opowiada drugi dowcip, uciekam bez tchu półtora kilometra — tam wreszcie nic nie słychać.

Pytanie do publiczności: czemu nie wyjecie, czemu nie gwiżdżecie, czemu nie obrzucacie chałturzystów zgniłymi pomidorami etc.

AMMIANUS

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

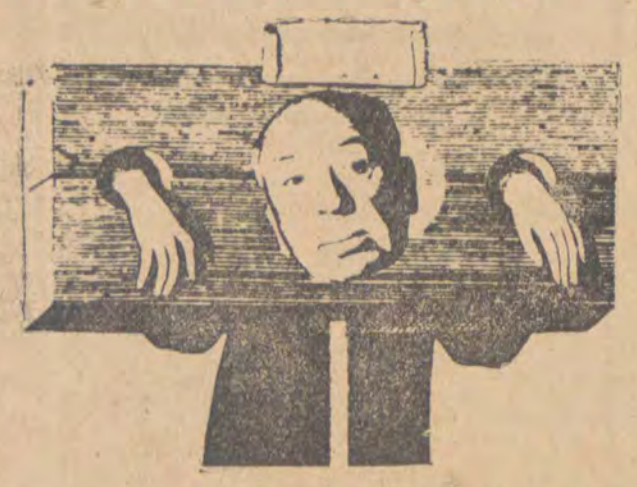

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Wpadł na ten pomysł zupełnie niespodziewanie i był nim zachwycony. Początkowo wydawało mu się, że to będzie śmieszne, ale im dłużej o tym myślał coraz bardziej realnym stawał się jego plan.

Zawsze rano siedział w swoim pokoju wpatrzony w ścianę. Codzien nie wstawał bardzo wcześnie, przygotowywał śniadanie dla Elsie i dla siebie, a potem sie dział i rozmyślał.

Jego poranne rozmyślania były krótkotrwałą ucieczką od rzeczywistości. Elsie nigdy nie wchodziła do pokoju. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie była w nim ani razu.

Siedziała w fotelu i nie opuszczała swojej sypialni. Była milcząca, zgorzkniała. Naruszała tę ciszę jedynie swoim krzykiem, kiedy była z czegoś niezadowolona, o potem wpatrywała się w niego z pogardą, przypominając mu, że to on jest odpowiedzialny za to co się z nią stało.

I tak było przez długie dziesięć lat, a Rutherford Parnell, aby uśpić swój ból, uciekał myślami z tego domu popadając w stan dziwnej euforii.

— Rutherford!

— Tak, słucham... — Jej ostry głos wciągał go z powrotem do pokoju. — Jestem. Elsie...

— Chodź tu! — krzyknęła.

Wstał ociężale i powlókł się do niej. W sypialni było ciemno (nie pozwalała mu odsłonić okien), a wypełniający pokój zapach stęchlizny przyprawiał go o mdłości.

— Herbata jest słaba! — powiedziała, a brzmienie jej głosu było zbliżone do pisku. — Słaba jak ty! Wszystko co robisz jest słabe albo zimne, albo niepotrzebne. Ale ty nie jesteś nawet na tyle przyzwoity by poszukać kogoś, kto umie gotować.

— Mrs. Casey również odejdzie — powiedział spokojnie Rutherford. Była to ósma z kolei kobieta, która miała towarzyszyć Elsie. — Przecież wiesz, że ona przychodzi nie po to by gotować śniadania.

— Wiem. Ty nic nie potrafisz zrobić. Idź już stąd, Rutherford. A może chcesz mnie zabrać swoim samochodem na spacer!

Ileż to razy w ciągu dziesięciu lat słyszał: Może chcesz mnie zabrać swoim samochodem na spacer!

LAWRENCE POGE

JAK POZBYĆ SIĘ ŻONY?

Zamknął za sobą drzwi i przeszedł do pokoju aby tam stać i patrzeć przez okno. Zobaczył idącą Mrs. Casey. Była to miła i zawsze uśmiechnięta kobieta. Rutherford lubił z nią rozmawiać. Nawet ponura osobowość Elsie nie potrafiła zabić w niej radości życia.

Otworzył drzwi.

— Dzień dobry — powitał ją.

Mrs. Casey była wysoka i szczupła z uśmiechniętą twarzą. Jednakże dzisiaj nie uśmiechała się.

— Dzień dobry. Chciałabym z panem porozmawiać.

— Proszę bardzo — powiedział Rutherford trochę zaniepokojony.

— Mr Parnell, proszę się na mnie nie gniewać, ale ja znalazłam lepiej płatne miejsce...

— Oczywiście, Mrs. Casey, ja nie mam prawa pani zatrzymywać. Mam nadzieję, że zostanie pani jeszcze do końca tygodnia.

— Naturalnie.

Rutherford wiedział, że tu nie chodzi o pieniądze. Po prostu Mrs. Casey nie mogła już dłużej wytrzymać z Elsie. Ale nic jej nie powiedział tylko włożył płaszcz i wyszedł z domu.

Na ulicy było słonecznie i właśnie tego dnia Rutherford postanowił zrealizować swój plan. Zatrzymał się na przystanku autobusowym z którego odjeżdżał codziennie od dziesięciu lat. Po tym wypadku sprzedał samochód, ale mimo to ciągle o tym myślał. Elsie nie pozwoliła mu zapomnieć, że to właśnie on siedział przy kierownicy owego dżdżystego listopadowego wieczora. Od tego czasu już dziesięć lat była przykuta do fotela.

Wsiadł do autobusu i skinął głową kierowcy, jak zawsze. Ale tym razem wysiadł o trzy przystanki bliżej. Wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do swojego biura.

— Mary? Mówi Rutherford.

— Co się stało? Źle się czujesz?

— Tak, dlatego dzwonię.

— Dobrze, powiem szefowi, że dzisiaj nie przyjdziesz. Mam nadzieję, że już jutro będzie wszystko w porządku, prawda? To niesłychane, przecież nigdy nie chorowałeś...

* * *

Krushman senior, z zakładu pogrzebowego „Krushman and Sons" poprawił na swoim cienkim długim nosie okulary, odchrząknął, uśmiechnął się i spytał:

— Czym mogę panu służyć?

— Chciałem zamówić pogrzeb — powiedział cicho Rutherford.

— Tak, rozumiem — mówił Krushman — bardzo panu współczuję. Czy może mi pan podać nazwisko nieboszczyka?

— To nie jest konieczne — odparł Rutherford. — Na tej kartce znajduje się adres. Proszę przyjechać dziś wieczorem... i zabrać zmarłego.

— Sprawa wygląda trochę niezwykle. Kto mi poda konieczne informacje?

— Kiedy pan przyjedzie — otrzyma pan wszystko na miejscu. Proszę nie zapomnieć. Dzisiaj o ósmej wieczorem. Dobrze?

— Oczywiście, o ósmej.

* * *

Mrs. Casey była zdziwiona, że Rutherford wrócił tak wcześnie.

Rutherford uśmiechnął się do niej.

— Zwalniam panią na resztę dnia. Może pani wrócić do domu. — Wyjął portfel. — A oto należność.

Mrs. Casey była wyraźnie zażenowana.

— Mr Parnell, ja nie powiedziałam prawdy dziś rano...

— Wiem dlaczego pani odchodzi. Po prostu nie może pani wytrzymać z moją żoną. Wszystko rozumiem. Ja również jej nienawidzę i chciałbym aby już umarła, wtedy nareszcie byłbym wolny. Ale ona nie chce umrzeć. Gdybym mógł odejść od niej tak jak pani, Mrs. Casey.

Mrs. Casey szybko się pożegnała i odeszła.

— Rutherford, Rutherford, to ty?

Głos dochodzący do niego z sypialni był ostry, zimny, nieprzyjemny.

— Tak, kochanie. Już wróciłem.

Zacisnął pięści, odczekał chwilę, a potem wszedł do sypialni. Podszedł do okien i odsunął zasłony. Słońce wypełniło pokój.

— Rutherford, czyś ty zwariował!

Rutherford wyjął z kieszeni truciznę, którą kupił w aptece.

— Przyniosłem coś dla ciebie. Upominek. Pomoże ci uciec od twojej ciągłej samotności i zgorzknienia.

— Co ty mówisz? Natychmiast zasłoń okna. Tyś chyba oszalał!

— Kochanie, czy powiedziałem ci kiedykolwiek, że jesteś piękna? Jeżeli tak — to ja kłamałem i chcę, żebyś teraz o tym wiedziała.

— Wariat!

Wybiegł do kuchni i napełnił szklankę mlekiem. Słyszał jak w sypialni krzyczy żona. Odpakował torebkę i wsypał do szklanki dwie łyżeczki trucizny. Wrócił do niej ze szklanką w dłoni.

— Nie chcę tego. Przecież wiesz, że ja nienawidzę mleka!

— Pijesz je zawsze wieczorem, a teraz nie chcesz? Ale tym razem to mleko nie jest dla ciebie. Wszystko co przyrządzałem przez dziesięć lat nie smakowało ci!

Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Jesteś okropny! Moja matka mówiła mi żebym nie wychodziła za ciebie. Dlaczego jej nie posłuchałam...

— Twoja matka o każdym tak mówiła, ale kiedy trafiła się okazja, żeby cię wypchnąć z domu — zrobiła mi z ciebie prezent. Nawet twój ojciec ciebie nie cierpiał!

— Rutherford! Jesteś podły! Podły!

— Elsie, czy chcesz się dowiedzieć jaki upominek ci przyniosłem? Ucieczkę dla nas obojga. Coś co może nas od siebie uwolnić!

— Tyś chyba zwariował!

— Słuchaj, mam dla ciebie propozycję. Czy nie chciałabyś odpocząć? — spytał trzymając oburącz szklankę mleka.

— Idiota, znowu bredzi!

— Wiedziałem, że tak powiesz.

Uśmiechnął się, spojrzał na nią ze smutkiem w oczach, uniósł szklankę i wypił całą jej zawartość.

— Elsie, kochanie, za chwilę się przekonasz, że to dla ciebie wcale nie byłoby takie złe....

Nie wiedziała o czym on mówi — nie wiedziała przez kilka minut.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

Henryk Płóciennik — Grafika

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

KTO Z PAŃSTWA NA WIDZEW?

Czytałem niedawno felieton o warszawskich taksówkarzach. Że pełnią swą pracę zupełnie honorowo, z zamiłowania, a jeśli czasem coś zarobią — to tylko wówczas, gdy biorą gości na lebka, poza licznikiem.

Czytałem też felieton o tym, że jednym z najintratniejszych zawodów jest zawód taksówkarza, zwłaszcza w Warszawie.

Jak jest naprawdę — trudno orzec. Być może, że ma rację pewien mój znajomy kierowca, twierdząc iż ci, co najwięcej dawali zarobić taksówkarzom, mają dziś własne samochody, albo siedzą w kryminale. Minęły czasy, kiedy hodowcy nutrii i producenci korali z gipsu wyjeżdżali taksówkami, w bardzo miłym i nadobnym towarzystwie, na poziomki, płacąc każdą cenę za defekt silnika w odpowiednim miejscu. Taksówka staje się coraz bardziej środkiem komunikacji, używanym w razie prawdziwej potrzeby. Może dlatego — zupełnie tak jak to się dzieje ze wszystkimi innymi naszymi potrzebami natury usługowej — i tę zaspokajamy z coraz większym trudem.

Przed Dworcem Kaliskim w dzień nie ma taksówek nigdy. Podobno się nie opłaci. Długa kolejka chętnych czeka cierpliwie na deszczu, energiczniejsi panowie biegają z rozwianym włosem po całym placu, dopingowani przez niewyspane po podróży żony, a kończy się i tak na jeździe tramwajem z perspektywą dźwigania bagażu jeszcze kilometr od przystanku do domu.

Za to przed Dworcem Fabrycznym są taksówki zawsze. Tyle że bez kierowców. Kierowcy siedzą w środku i jedzą obiad, albo podwieczorek, albo kolację. Śmiesznie wygląda taki wyścig objuczonych facetów i starszych pań do stojącej „Warszawy", zakończony zajrzeniem do środka i bezradnym opadnięciem ramion. Kierowcy mają przez okno fajny widok, podnoszący ich rangę, znaczenie i humor.

Czasem zresztą kierowca siedzi przy kółku nie zapalając górnego światła „Taxi". Proszę bardzo, nie twierdzi, że jest wolny, nikt nie może mieć pretensji o odmowę jazdy. Ostatecznie może pojechać, ale zależy dokąd. Na Julianów? W żadnym razie. Koziny? Odpada. Żubardź? Innym razem. Tylko na Widzew. Nie moja wina, powiada, że pani mieszka w Julianowie. Ma rację i nie potrzebuje być nawet uprzejmy.

W Lipsku i w Berlinie też jest trudno znaleźć taksówkę. Najlepszy sposób: zadzwonić. Telefon przyjmuje dyspozytor i wysyła wóz natychmiast. Nie zdarzyło mi się czekać nigdy dłużej niż parę minut. W Łodzi po pierwsze automaty telefoniczne nie działają, a po drugie — nikt nigdy słuchawki nie podejmie. Stałem kiedyś koło księgarni na rogu Narutowicza i Armii Ludowej. Telefon dzwonił dziesięć minut bez przerwy; na całej ulicy było słychać, psy się płoszyły, wróble uciekły, a siedzący w swych wozach tuż przy szalejącym dzwonku szoferzy ani drgnęli. Widocznie też im się nie opłaci.

Co się u Boga Ojca w tym kraju opłaci? Jaki zysk wart jest, żeby się o niego pofatygować: tysiąc procent? Ani grosza mniej? Więc zostawia się żonę z bagażem i dziećmi w domu, biegnie się — czasem i nocą — na miasto, do jednego postoju, do drugiego postoju, tu nic nie ma, tam nic nie ma, gania się rzadkie wozy po ulicach — chłapnie taki tylko i pojedzie dalej — godzina pociągu się zbliża, tamci w domu gryzą paznokcie; rób co chcesz. A raczej rób co nie chcesz: staraj się wyekspediować familię na dworzec na sześć godzin wcześniej. Czasu mamy dość, czas nic nie kosztuje.

Mówi się o niektórych funkcjonariuszach, że nie można od nich wymagać uprzejmości za te nędzne grosze, które zarabiają. Wie się z kolei o innych: że zarabiają tak dużo i tak łatwo, że nie potrzebują zmuszać się do uprzejmości. I znów nie wiadomo, do której z tych kategorii zaliczyć taksówkarzy. Mniejsza jednak z tym, jużeśmy się przyzwyczaili do roli intruza, za jakiego mają nas wszyscy dookoła. Niech tylko taksówki jeżdżą na prawdę tam, gdzie chce pasażer, i niech będą osiągalne tam, gdzie są naprawdę najbardziej potrzebne.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 2067.VIII.65.N-11